Nr. 18. Poznań, Niedziela dnia 5-go Maja 1901 r. Rok V.



Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie ***1,25 m.;*** *na poczcie w Austro-Węgrzech* ***1 kor. 47 hal.***
Pod opaską: *w Niemczech* ***1,90 mr.,*** *w Austro-Węgrzech* ***2 kor. 30 hal.*** *za Oceanem* ***1 dolar 25 cent.***
Redakcya i Administracya „Pracy“ znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. — Telefon Nr. 1246.

Dzwon wspomnienia.

Dzwon wspomnienia — znów uderza,
Radośnie — wesoło...
I pieśń jego płynie krajem
Daleko — w około.
Trzeci Maja — mówi wiele,
Wiele przypomina...
W dniu tym stroi się weselem
Piastowska kraina.

Dzwon wspomnienia — znów uderza,
W uroczystej pieśni —
Gdy się budzi ziemia ze snu,
Brzmią śpiewacy leśni,
Gdy rozkwita wiosna majem,
Ziemia przeorana,
Wtedy płynie pieśń wspomnienia
Promienna — kochana.

Dzwon wspomnienia — ducha budzi...
Otuchą — nadzieją —
O! bo w maju serca rosną,
Czoła promienieją...
Bo co było nie zginęło,
I narodu prawa,
Choć zdeptane — choć złamane,
Zniesiona ustawa —

Wszakże żyją w naszem życiu,
Co dzień są stwierdzane,
Konstytucyi prawa wzniosłe,
Złotemi nazwane.

Dzwon wspomnienia — znów uderza,
Na święto narodu —
Wiosna idzie — pługi orzą,
Znikły zimna lodu...
Każda wiosna jest nadzieją,
Każda plon wychowa...
I ta wiosna w **Trzecim Maju**
Tak jasna — tak nowa...
Która wstrząsła wszystkie ludy
Czynem tak wspaniałym,
Czyżby plonu nie dawała
Kłosem chociaż małym?
Wszakże w naszych sercach ziarno
I buja i rośnie...
W myśl ustawy — **Konstytucyi**
Splećmy dłoń radośnie...
Serce z sercem — życie z życiem
I równi — z równymi...
A dzwon wspomnień — nas powita —
. . . .

Jadwiga z Z. S.

Wiekopomny dzień.

(Wspomnienie o 3 maju.)

„Wciąż się szamocę, szukając sposobu,
„Jakby nas zmężnić... wszystkie drogi mylne!
„A więc z pochodnią wstąpić chcę do grobu,
„Na jaw wygrzebię czyny podmogilne,
„Dawnych olbrzymów przed wami postawię.“

„Czyny podmogilne“ sławnych olbrzymów, naszych praojców, to nie wymarzone ideały, ale prawdziwa służba dla dobra Ojczyzny, to płonąca ogniem ofiar i poświęcenia pochodnia, to granitowe słupy, znaczące byt wolnego narodu, to wreszcie postrach przeciw sidłom i zdradom wrogów.

Takich „podmogilnych“ czynów w przeszłości naszej nie mało. Snują się one przez cały ciąg dziejów narodu, splatają się w piękny wieniec, piszą swą historyę krwią i mogiłami, sypią szańce przedmurza chrześciańśtwa i wznoszą wielkość Ojczyzny do tej potęgi, wobec której klękać musi upokorzony Krzyżak, wróg nie jeden raz cofa się ze sromem, a zastępy rycerstwa naszego kruszą nie jeden raz hufce dziesięćkroć większe. „Czyny podmogilne“ to nasze cnoty zdrowe i narodowe, to Unia Lubelska, to walki Sobieskiego, to obrona Częstochowy, Konfederacya Barska, to Sejm czteroletni, to owa wielka, wiekopomna Konstytucya 3-go maja, która zabłysła słońcem odrodzenia — i zgasnąć nigdy nie może...

Konstytucya — niosła ocalenie Ojczyźnie, budowała potęgę, niedającą się zburzyć, wołała o równość, wolność wszystkich stanów, oświatę kładła na pierwszem miejscu, skarb i wojsko pomnażała. Konstytucya ta — zwana „wspaniałą reformą, którą mądrość rządu polskiego uskuteczniła,“ przecież przez sprzysiężenie trzech potęg siły, została zdeptaną i w niwecz obróconą. Tak wedle praw obowiązujących w państwach, do których my — jako niewolni należymy, ustawy Konstytucyi 3-go maja nic nie znaczą, są one tylko aktem historycznym, napisanym na papierze. Ale serca nasze, nasze sumienie narodowe, nasze powinności moralne powiadają inaczej.

Uchwały Konstytuci 3-go maja obowiązują nas moralnie i my powinniśmy wszystkie nasze siły wytężyć ku temu, aby je wypełnić najgorliwiej.

W roku 1823 w Wilnie, w gimnazyum, mały Michaś Plater, uczeń 5-tej klasy, napisał dnia 3-go maja na tablicy:

„Niech żyje Konstytucya 3-go maja!“ a któryś z kolegów dopisał drobnem pismem:

„Lecz nie ma nikogo, ktoby się o nią upomniał!“

Słowa te, napisane ręką dzieci, dały początek do straszliwego prześladowania na Litwie. Dzieci poszły w sołdaty, szkoły zamknięto, Litwa cała łzami się zalała...

Znane to dzieje. Któż ich nie poznał? I jakkolwiek wolno u nas napisać nawet nie jeden raz „Niech żyje Konstytucya 3-go maja“, zdaje się, można by dodawać z żalem słowa owego chłopczyny: „nie ma komu o nią się upomnieć...“

Konstytucya 3-go maja nie upadła, nie przestała nas Polaków obowiązywać, nie stała się tylko wspomnieniem, ale jest ustawą i prawem do dziś nas duchowo obowięzującem.

Ustawa 3-go maja w jednem miejscu powiada: „Każdego szlachcica cnocie, obywatelstwu i honorowi świętość Konstytucyi i jej trwałość strzeżenia poruczamy, jako jedyną twierdzę Ojczyzny i swobód naszych“.

Słowa te mówią wiele. Świętość Konstytucyi, jej trwałość, zależy od naszej cnoty, obywatelskiego zrozumienia swych obowiązków i naszego honoru, który ma czuwać nad tem, „aby zbawienne prawa — zbawiły naród“. Idzie właśnie o to, abyśmy stwierdzali na każdym kroku, w każdym zawodzie, w każdem położeniu to, iż naszą godność narodową umiemy szanować, iż wielką miłość Ojczyzny, chcemy na wielkich cnotach opierać. Starajmy się uczcić Miłość Ojczyzny życiem tak szlachetnem, aby w niem nawet wróg nasz nie znalazł nic do wyszydzenia, a wtedy cnota, obywatelstwo i honor nasz Konstytucyę trwale w życiu uchowają.

Ustawa 3-go maja w innem miejscu mówi:

„Lud rolniczy, z pod którego ręki płynie najobfitsze bogactw krajowych źródło, który najliczniejszą w narodzie stanowi ludność, a zatem najludniejszą kraju siłę, tak przez sprawiedliwość i obowiązki chrześciańskie, jak i przez własny interes dobrze zrozumiany, pod opiekę prawa i rządu krajowego przyjmujemy i ogłaszamy wolność dla wszystkich ludzi.“

Wolność ta, podówczas, dotyczyła zniesienia poddaństwa i niewolnictwa, tych dwóch ciężkich, przygniatających klasy niższe kamieni, które nieraz jeden krwawemi łzami były kąpane.

W dobie dzisiejszej, nie o zniesienie tamtej niewoli nam iść powinno, nam, którzy Konstytucyi żywotność mamy stwierdzać czynem, lecz powinniśmy zrozumieć, iż owa wolność oznacza równość wszystkich stanów i klas, że właściwie wobec Konstytucyi już klas nie ma, bo wszyscy są uznani dziećmi jednej Matki Ojczyzny, wszyscy mają jedne prawa, ale i obowiązki, jedne cele i trudy.

To też nie raz jeden, gdy tu lub tam widzimy dumę i pychę bezduszną, znajdujemy jeszcze zacofanie iście egipskich pojęć, iż jedni są wyżsi i lepsi, a drudzy niżsi i gorsi przez urodzenie lub stanowisko, mimowoli rwie się gorzkie pytanie:

— Czy ci ludzie kart historyi nigdy w ręku nie mieli?

Stanisław Małachowski, Marszałek Sejmu czteroletniego, który był duszą Konstytucyi, sam się pierwszy wpisał do księgi mieszczan warszawskich z r. 1791, pierwszy nadał włościanom wolność zupełną — on, wysoki urodzeniem i stanowiskiem, wyższy nadto cnotą, zasługą dla Ojczyzny, stanął w rzędzie wzgardzonych dotychczas mieszczan, ażeby okazać, iż Konstytucya różnice znosi.

Bo i nie ma ludzi z krwią błękitną lub szarą. Są ludzie szlachetni i ludzie nieuczciwi, są ludzie olbrzymy duchowe i karły nizkie, są ludzie zacni i prawi i ci zasługują na szacunek, a są pyszni i samolubni i ci godni poniżenia. Wartość człowieka stanowi jego życie moralne, obywatelskie, chrześciańskie, a nie liczba banknotów wartościowych w kieszeni, nie ilość sukien zawieszonych w szafie, ani szereg pokoi jego domu, ani białość rąk, próżnujących zawsze. Wszyscy są równi i w prawach i w obowiązkach.

Tu tkwi właśnie ziarno potęgi naszej narodowej, naszej wiary niezłomnej, iż narodem pozostać możemy, bo tu mamy równe pole do pracy, równe drogi do wspinania się wyżej pod względem oświaty.

Konstytucya 3-go maja w innem miejscu powiada:

„Naród winien jest sobie samemu obronę od napaści i dla przestrzegania całości swojej. Wszyscy przeto obywatele są obrońcami całości i swobód narodowych. Wojsko nic innego nie jest tylko wyciągnięta siła obronna i porządna z ogólnej siły narodu.“

„Skarb i wojsko! Skarb i wojsko!“ powtarzał raz po raz na każdem posiedzeniu Korsak, poseł wileński. Gdy Nalewski wniósł myśl, aby uchwalić 100,000 wojska, cała izba przyklasnęła temu projektowi. Jednak — wykonanie nie poszło łatwo. Ani skarb nie został pomnożony jak było potrzeba, ani armia nie doszła do liczby projektowanej. I dlatego — przyszła niewola.

Skarb narodu trzeba pomnożyć dziś, aby naród mógł żyć, a skarbem nie zowią się nasze grosze... Są cenniejsze i droższe dary na skarb narodu, tylko najmniej o nie się troszczymy. Praca, oświata, zgoda, poświęcenie — to wszystko dary nad dary na dobro Ojczyzny, ale — kto je zbiera i daje?

A gdy niemożem stawiać armii wiel-

kiej, uzbrojonej, wyćwiczonej, stawajmy murem, ramię obok ramienia, dłoń przy dłoni, nie w pyle bitw z kosami, ale w boju prac, które siłę wroga podkopią... Wszyscy w narodzie są obrońcami całości i moralnych swobód narodu, wszyscy stanowią armię, która musi czuwać nad zachowaniem Konstytucyi 3-go maja, ale nie wszyscy chcą o tem wiedzieć.

Jedni służą sobie, drudzy służą swej chciwości i pysze, inni próżniactwu i zazdrości, a wielu — śpi!... Choć gromy huczą, pioruny biją, ich to nie trwoży, nie budzi, im tak dobrze, wygodnie w ich samolubstwie, więc pocóż narażać się, niepokoić!?

Stokroć większe zadanie być armią z ducha, jak armią z bagnetów, wojskiem z cnoty, wiary i pracy, a nie z munduru, musztry i krwi chciwej, śmierci chciwej — dzikości. Stokroć większe zadanie być w szeregu armii z własnej woli, nie z musu, być szeregowcem dla idei, nie dla karyery i walczyć bez myśli o orderach...

Można być większą armią jak była armia Napoleona, a jednak nie mieć kos i pałaszów i można pokonywać wrogów krok za krokiem, a jednak nie sypać kurhanów mogilnych...

Wiekopomny dzień 3-go maja powinien być zrozumiany i odczuty przez wszystkich w narodzie, bo zaiste w zrozumieniu potęgi Konstytucyi 3-go maja leży przyszłość Ojczyzny i nasza...

Im szczerzej i gorręcej chcemy uczcić rocznicę tego dnia wiekopomnego, tem serdeczniejszym uściskiem splećmy nasze dłonie i zestrzelmy myśli i uczucia w jedno ognisko.

Wolni, równi i niezachwiani w miłości swobód ducha niech staną się wszyscy w około nas, a wtedy poznamy, iż ustawa Konstytucyi żyje i — do szczęścia naród prowadzi!

Jadwiga z Z. S.

Wykrzyk

„zbrodniarze."

Na wiecu w Gostyniu, gdzie zgromadzeni licznie obywatele Polacy obradowali nad naszem położeniem politycznem i gdzie wywody referentów, uprzytomniających krzywdy systemu germanizacyjnego, burzliwie oklaskiwano, jako wyraz jednogłośnej opinii publicznej, z pośród słuchaczy, padł znamienny okrzyk: *„Zbrodniarze!"* właśnie, gdy mówca rozwodził się nad skasowaniem nauki języka polskiego przez ministrów i nad szykanami systemu germanizacyjnego.

To dało pohop urzędnikowi dozorującemu do rozwiązania wieca.

W kilka dni później doniosły telegramy o nowych dwóch wypadkach rozwiązania polskich wieców na prowincyi.

Okrzyk *„zbrodniarze!"* który pod adresem polakożerców padł na owym wiecu, jest znamiennym objawem rozgoryczenia i oburzenia, jakie ogarnęło całą ludność polską.

W okrzyku tym wyraz oburzenia tego dosięgnął bezwątpienia najsilniejszego tonu w gamie politycznych enuncyacyi polskich. Były najpierw hasła: *„Przy Tobie, najjaśniejszy Panie, stać wiernie chcemy"*, potem przyszły *„petycye do tronu"*, potem *„petycye do ministrów"*, potem *„skargi"*, potem *„protesty"*, aż wreszcie huknęło słowo: *„Zbrodniarze!"*

Fakt to, powtarzamy, tak znamienny, że kto wie, czy przyszły historyk dziejów naszego zaboru, rozpatrując w ciągłości dziejowe pasmo wypadków po sobie następujących, tej chwili, gdy zabrzmiał okrzyk „zbrodniarze!" nie nada ważności słupa granicznego, oddzielającego dawniejszych „wiernych i lojalnych poddanych" od dzisiajszych „pruskich poddanych z przymusu."

Do nas, jako do pisma dziś zapewne najpoczytniejszego w Wielkopolsce, a pragnącego być szczerem odzwierciedleniem opinii publicznej i usposobienia jej wobec ciążącego nad społeczeństwem — dokuczliwego systemu, należy, ażebyśmy wobec zajścia gostyńskiego zabrali głos wypowiadając jasne zdanie nasze.

Nasamprzód przestrzegamy stanowczo przed pojedyńczymi objawami rozgoryczenia w formie zbyt ostrej — a powierzchownej, jak to się stało na wiecu gostyńskim, gdyż tylko przez spokojną a wytrwałą i głęboko obmyśloną pracę społeczną i narodową u podstaw — możemy dojść do pozytywnego celu.

W obec coraz bardziej piętrzących się trudności stawianych nam na polu narodowo-religijnem, wobec zaciętej walki ekonomicznej, nam jawnie wypowiedzianej przez zaciekłą hakatę, wobec całego ucisku, na który dziś każdy z nas narażony, wobec tych wszystkich niezliczonych a ustawicznie doznawanych szykan — stało się potrzebą naszego serca zwrócenie się do naszego myślącego ogółu z kilku uwagami osnutemi na ogólnem tle naszego politycznego położenia. Wprawdzie lekko one są powiązane z zajściem gostyńskiem, jednak z zasadniczego stanowiska motywują zapatrywania, jakich całe nasze społeczeństwo w tym razie i w innych podobnych wypadkach trzymać się powinno.

Aby się streścić krótko, powiemy nasze zdanie w tych paru słowach:

W postępowaniu naszem wobec rządu pruskiego i wszystkich jego organów powinniśmy wogóle i w każdym poszczególnym przypadku rządzić się przekonaniem, że za lat kilka będziemy mieli prawa wyjątkowe przeciwko Polakom w daleko większym zakresie, niż je dziś mamy; w postępowaniu naszem powinniśmy się liczyć z prawdopodobieństwem, że za lat kilka, a może już wcześniej zatartym będzie w szkołach ostatni ślad języka polskiego, że jak tyle innych zawarowanych konstytucyjnie praw, tak też padnie pod obuchem germanizatorskim prawo względnie swobodnego ruchu, pracy i rozwoju stowarzyszeń, że rozzuchwalony hakatyzm będzie usiłował targnąć się na piśmiennictwo, a szczególnie na dziennikarstwo polskie, borykające się już od dawna z paragrafami kodeksu karnego, pojmowanemi przez prokuratoryą i stosowanemi przez sąd tak, że procesy i wyroki surowe, że ciężkie kary więzienne i wysokie kary pieniężne ciągną się długim, prawie nieprzerwanym sznurem, podkopując materyalnie lub tamując rozwój wydawnictw polskich.

Takie oto trzeźwe przewidywania, na które niejeden może zawoła: „ależ to byłby gwałt, to zdeptanie konstytucyi, to bezprawie" — budzi w nas widok wzmagającego się cho-

robliwie szału hakatystycznego, urągającego prawom ludzkim, prawom Bozkim, ba, chełpiącego się dziś, że kruszyć może na razie bezkarnie podwalinę chrześcijańskich pojęć — zasadę miłości bliźniego!

Wobec tego — musimy się koniecznie przygotowywać na wszelkie możliwości. Pracą naszą na wiecach, w prasie, w prywatnych stosunkach, w obrębie rodziny — powinno kierować przekonanie, że za lat kilka hakata święcić będzie zupełny i ostateczny tryumf — nie nad polskością, bo tej nie zwalczy — ale w swoich wpływach na rząd pruski. Dziś rząd pruski — sądząc z toczącego się prądu antypolskiego zdaje się płynąć z nim razem — za lat kilka zdaje się, że będzie w stosunku do Polaków jedynie wykonawczym jego organem.

Gdy hakata rozkaże: zabronić odbywania wieców — będą zabronione; zawiesić konstytucyą — będzie zawieszona; skasować gazety polskie — przestaną wychodzić.

To przekonanie powinno być miarodajne we wszystkich naszych krokach politycznych. Nam nie wolno wierzyć ani w świętość konstytucyi, ani w to, że parlament nie dopuści do praw wyjątkowych. Musimy sobie powiedzieć, że wszystko jest możliwe w Prusach, co tylko ma na celu germanizowanie Polaków — i musimy do tego się zastosować. Za dwa lata, po nowych wyborach, gdy centrum katolickie straci kilka mandatów na Górnym Ślązku, stanie się i ono powolne planom hakatystów, o ile niem już nie jest — znajdzie się potrzebna większość w parlamencie i nowe prawa wyjątkowe będą uchwalone.

Chwilę uchwalenia tych praw, moglibyśmy może przez niewolniczo lojalne pełzanie odwlec na rok, na dwa, kosztem zaparcia się ludu górnoślązkiego, kosztem pozostawienia go w rękach centrum! Lecz tej ofiary nikt niech nie żąda. *Jeśli mamy cierpieć pod obuchem praw wyjątkowych, cierpmy razem, — wśród praw wyjątkowych przyświecać nam będzie zawsze idea jedności.* Całe społeczeństwo jednomyślnie się oświadczyło, że choćby i kosztem wszelkich ofiar, solidarność narodowa z Górnym Ślązkiem utrzymana być musi.

O możliwości praw wyjątkowych ogólnych przeciw Polakom wspominaliśmy już często, nigdy jednak w formie tak stanowczej: sądzimy, że obecnie już chwila nadeszła, aby całkowicie pod tym względem się wypowiedzieć i zaznaczyć, że w politycznej taktyce społeczeństwa naszego miarodajnym być musi ten wzgląd na niechybne, wiszące nad nami nowe prawa wyjątkowe.

Wyniki, jakie w praktyce z tego wysnuć należy, są najrozmaitsze, a wielce ważne. Myliłby się każdy, ktoby sądził, że my należymy do tego, wymierającego już zresztą dzisiaj gatunku polityków, którzy powiadają: „zagrażają nam prawa wyjątkowe, a więc nie drażnijmy wrogów.“ — Nie. My mówimy inaczej. My twierdzimy, że prawa takie nadejdą bez względu na to, czy będziemy się powściągali w najlegalniejszych objawach naszej myśli. *Zresztą nasz sam byt, samo istnienie polskości już drażni „naszych najserdeczniejszych.“*

To też powiadamy: Naszymi czynami powinien kierować ten wzgląd, że zawieszenie konstytucyi dla Polaków jest kwestyą czasu tylko.

Jak podróżnicy, wybierający się na wyprawę do bieguna północnego, na śniegi i lody, sposobią się zawczasu na ten okres, który im trzeba będzie przebyć bez dowozu żywności, bez światła i ciepła, w cieniach nocy podbiegunowej, — tak samo i społeczeństwo nasze powinno się sposobić na taki okres ponurych ciemności, który już niemal przed drzwiami naszemi stoi. I wszystkich nas czeka okres udręczeń, ucisku, okres ponurego milczenia, gdy żywy protest przeciw gwałtom nie zabrzmi ani na wiecu, nie ujawni się ani w żadnem towarzystwie, ani w żadnym artykule. A czy ten okres zwycięzko przetrwamy, zależeć będzie od tego, jak zaopatrzymy się w te niezbędne zapasy ducha narodowego, oświaty, energii do pracy, zrozumienia obowiązków obywatelskich. Wszystko, co czynimy, niech będzie przesiąknięte tem przekonaniem, że *powinniśmy wykorzystać w całej pełni te resztki obywatelskiej konstytucyjnej wolności, jakie jeszcze mamy, bo nadchodzi czas, gdy z zasobów sił dziś nagromadzonych, ażeby istnieć, czerpać będziemy musieli.*

Praca nasza obecnie powinna być prowadzona w tempie gorączkowem, bo czas nie czeka; niechaj wiece nasze rozniosą głos protestu od chaty do chaty polskiej; *podobna do wici, co niegdyś przodków naszych w czasach zamierzchłych zwoływały do broni, niech dziś szerzy się z ust do ust wieść, że musimy szybko budzić ducha narodowego, szybko szerzyć gazety, zdwoić usiłowania rozbudzenia obojętnych, bo nadchodzi pora mroku i milczenia...*

Jak kosiarz, co z niepokojem śledzi zniżanie się słońca ku zachodowi i podwaja pracę, bo przed nim tyle jeszcze nieskoszonych łanów, tak i my wszyscy, co w piersi mamy obywatelski ogień i poczucie narodowe, powinniśmy wytężyć wszystkie siły, dopóki nam wolno pracować legalnie, w zgodzie z literą prawa, a nie po zachodzie słońca — w pomroce....

A gdy to przeświadczenie głębokie zapuści korzenie w duszy społeczeństwa, to *w niem znajdziemy i drogowskaz do tego, co możemy robić, a od czego się powstrzymywać.*

A więc cóż powiedzieć na ów okrzyk „zbrodniarze?“ okrzyk co takim dziwnym odgłosem zabrzmiał na wiecu gostyńskim...

Niech nas Bóg broni, abyśmy mieli potępiać uczucia tych, z których piersi rozżalonej wyrwał się ten okrzyk. Aniśmy przecież obrońcami państwa pruskiego, ani też system pruski zasługuje na obronę. Ten system zasługuje raczej na najwyższe potępienie. Jest on bezprawnym zamachem na duszę polskiego narodu, cały ten system germanizacyjny — a gazety broniące sprawiedliwości

i prawdy są jednym aktem oskarżenia przeciw dziejącym się krzywdom.

Obcą też nam chęć ganienia okrzyków, które w jednym wyrazie niekiedy określają całe wzburzenie naszej opinii publicznej, przyznajemy nawet, że jedno takie zajście, jeden taki okrzyk, a raczej to, co po nim nastąpiło, zdoła oświecić politycznie jak błyskawicą setki ludzi bardziej, niż najlepsza mowa; — ale zarazem musimy się zapytać, czy podobne, choćby pojedyńcze najnamiętniejsze wybuchy nie mogłyby narazić na szwank naszej pracy narodowej, już i tak ograniczanej?

Rozwiązanie wieca oznacza zawsze pewne strwonienie energii, która go zwołała, energii w usiłowaniach wspólnych, oznacza zmarnowaną sposobność rozbudzenia kilkaset serc może uśpionych. Na wiecach zatem należy o ile możności unikać kolizyi z prawem, aby nieudane wiece nie zniechęcały ludności do brania udziału w ogólnej działalności.

Wypadek w Gostyniu będzie zapewne odosobniony. Ale to, co się stało, to się nie odstanie. Z elementarną siłą ujawnił się głos oburzonej opinii publicznej polskiej i rzucił polakożercom w oczy słowo „*zbrodniarze*.“

Prasa polska zazwyczaj bardziej parlamentarnej formy szuka, chcąc tę samą myśl przewodnią wyrazić — i dlatego powiadamy: szkoda, że ten, kto wołał, dał się unieść rozdrażnieniu i nie wybrał sobie bardziej parlamentarnej formy zarzutów.

Pozatem —? Pozatem prosić tylko byśmy mogli wiecowników, aby nie dali się odstraszyć niczem od wyjawienia swych zapatrywań publicznie, aby jednak swój protest i swe żale wobec krzywd doznanych przybierali w formę nieuchwytną dla paragrafów kodeksu karnego, by nie dawali powodu do rozwiązywania wieców....

U nas nikt zapewne ministrów pruskich ani systemu ich bronić nie będzie — o ile nam względy wyżej wyłuszczone nie nakazują zastrzeżeń *co do formy*...

Tak, ostrym był wykrzyk, jaki się mimowoli wyrwał z piersi polskiej, przepełnionej goryczą, ale znamiennym i wiele mówiącym wśród obecnych stosunków. Sam fakt rozwiązania wieca nie zdoła zatrzeć znaczenia niezwykłego wybuchu goryczy i oburzenia. W wykrzyku tym organa rządowe, zdolne do głębszego i bardziej przedmiotowego badania stosunków naszych, powinny dojrzeć znaku, że coraz nowe antypolskie przepisy i prawa, ani nie gaszą narodowego zapału, ani nie łamią ducha, ani też nie zabijają uczuć. Powinny rozpoznać znak, że ten duch sztucznie tłumiony wypromienia coraz nowe światło w pomrok przyszłego narodowego bytu, a uczucia szlachetne, wiążące każde serce polskie z całym polskim narodem zamiast się pogrążyć w bezczułości i martwocie, wrą coraz goręcej w piersi, a drażnione prześladowaniem wydają z siebie pierwiastki gorzkie, pierwiastki jeszcze namiętniejszej nienawiści. Nienawistnym jest posiew hakaty, a plonem — tem większa nienawiść w duszy polskiej, która się zabić nieda. Wolno rządowi liczyć się z tym znakiem zawartym w namiętnym okrzyku, wolno go lekceważyć. Ale to pewna, że w dziejowej przędzy, — którą snuje nie hakatyzm i nie potęga pruska, znikoma jak każda inna potęga ziemska, — że w dziejowej przędzy, którą snuje i rozsnuje też w przyszłości Istota wyższa — nie przepadnie, ani myśl polska, ani uczucie polskie nie zmarnieje. A będzie ono zawsze takiem, jakiem je urobią czasy....

Vester.

Znów więzienie...

Nulla dies sine linea — niema dnia, a odnośnie do „Pracy“ tygodnia — którego by nam nie wpisano w rejestr win i przekroczeń prasowych, jakich się dopatruje król. prokuratorya w naszych artykułach.

Te nam zarzucane winy i przekroczenia spełniamy w przekonaniu król. prokuratoryi, wedle z góry obmyślonego systemu i metody i pracujemy wytrwale a rzekomo wrogo przeciw władzy i współobywatelom narodowości niemieckiej. Toć i w najnowszym procesie usłyszeliśmy to samo z ust prokuratorskich, a prezes trybunału wyrzekł nawet, że drugi nasz artykuł, pióra profesora Siemiradzkiego, zapędza się w swej zapalczywości tak daleko, że przebija się w nim widocznie zamiar podjęcia walki z państwem pruskiem — i z tego powodu możnaby temu, co dał artykuł do druku, wytoczyć skargę o zdradę stanu (Hochverrath).

Te mniejwięcej myśli i wrażenia wynieśliśmy z rozpraw sądowych, jakie toczyły się w dniu 27 z. m. w sprawie tych naszych win i przekroczeń, które badała i roztrząsała tutejsza izba karna w procesie naszego redaktora odpowiedzialnego, p. Teofila Bestyńskiego, z powodu zamieszczonych w nr. 9 i 11 artykułów, a uległych konfiskacie sądowej już przed zapadnięciem wyroku trybunału sądowego.

Artykuł pierwszy, odczytany publicznie w dniu procesu, odnosił się, jak to wiadomo Czytelnikom naszym, do procesu żydka Loevego, skazanego w Chojnicach za krzywoprzysięztwo na 4-letnie więzienie. W toku procesu chodziło o dowód, że Loevy znał osobiście Wintera, czego się poprzednio wypierał pod przysięgą. W tym celu przesłuchiwano świadków, a w długim ich szeregu także agenta śledczego Magorrę. Tenże Magorra zeznał pomiędzy innemi, że kierujący śledztwem komisarz rozkazał mu jedynie stwierdzić, z któremi dziewczętami złych obyczajów przestawał Winter, znajomości więc zamordowanego z Loevym nie dociekał i nic o niej nie wie.

Zeznanie agenta Magorry nasunęło nam rozmaite uwagi krytyczne o pieczy władzy policyjnej a także władz szkolnych nad moralnością młodzieży. Do wyrażenia tych uwag skłaniał nas a nawet zniewalał wzgląd na dobro młodzieży, wzgląd na dobro cielesne i moralne przyszłych pokoleń.

Celem wywodów było to, ażeby obydwie władze roztoczyły baczniejszą uwagę nad obyczajami dorastającej młodzieży i chroniły je od zarzutów ze strony ojców i matek, że źle czuwano nad wychowaniem ich potomstwa.

Cóż więc dziwnego, że w toku artykułu omawiającego kwestyą wychowania przypomniały się nam liczne rewizye, zarządzane w mieszkaniach polskiej młodzieży, konfiskaty utworów Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego i Sienkiewicza. I cóż dziwnego, że przy omawianiu tych pościgów za młodzieżą naszą skreśliliśmy kilka cierpkich słów pod adresem policyi i władzy szkolnej, które to uwagi prokuratoryi nieprzypadły — do smaku.

Z procesem tym połączyło kolegium sądowe i drugi proces za artykuł profesora Siemiradzkiego, który również skonfiskowano. Z przebiegu rozpraw sądowych poznają Czytelnicy nasi przewodnią myśl tegoż artykułu pod nagłówkiem: „Pogląd na porozbiorowe dzieje Polski," artykułu, w którym w sposób naukowy roztrząsano walki Polaków aż do najnowszych czasów.

Przewodniczący, uzasadniał karygodność treści, zawartej w rzeczonym artykule, że Polacy działają w kierunku uzyskania wolności i niepodległości Polski, i że kraje należące obecnie do Prus zamierzają siłą odłączyć, co się mniemaniem przewodniczącego równa nieomal „zbrodni stanu."

Sąd i przekonanie przewodniczącego wcale nas nie razi; *natomiast brak nam wyrazu na to, że przewodniczący sądu, p. dr. Felsmann, nie znając widocznie historyi polskiej, mógł w zapytaniach swych, jakie stawiał odpowiedzialnemu redaktorowi, twierdzić, że dopiero Polacy, dostawszy się pod panowanie pruskie, z parobków — Knechty — stali się wolnymi ludzmi...*

My twierdzimy na podstawie historyi nauki — że pan dr. Felsmann myli się i w grubej pozostaje nieświadomości co do naszej dziejowej przeszłości, która wyraźnie pokazuje, iż Polacy nie byli nigdy niewolnikami nawet w zaraniu wielkiego i niepodległego państwa polskiego. — Czyżby pan dr. Felsmann niemiał nic wiedzieć o Konstytucyi 3-go maja, w której zabezpieczono ogólną wolność osobistą w tym czasie, w którym w Prusach wiejski lud niemiecki był niewolniczym parobkiem — a samemu rządowi pruskiemu ani się nie śniło o nadaniu państwu swemu tak wolnomyślnej Konstytucyi, — jak polska 3 maja, o której prócz współczesnych wybitnych mężów stanu i myślicieli angielskich, włoskich, francuskich, sam nawet król pruski, Fryderyk Wilhelm II, wyrażał się z uwielbieniem. I w dniu 29 marca 1790 zawarł przymierze z Polską ratując przez to państwo pruskie od upadku. — Czyż przewodniczący sądu p. dr. Felsmann nie czytał w historyi powszechnej, że ta Konstutucya polska była tak liberalną i postępową, jakiej przed rewolucyą żaden naród w Europie nie posiadał, wyjąwszy Anglią? Ta to Konstytucya 3 Maja była samodzielnym czynem, świadczącym o wielkiej sile moralnej narodu polskiego. Konstytucyę tę polską pochwalił ówczesny Papież Pius VI w liście pisanym do króla polskiego, Stanisława Augusta, chwalono ją w parlamencie angielskim i i we Francyi. Czyż tych wiarogodnych świadectw wystawionych polskiej Konstytucyi 3 Maja nie miał w ręku i nie czytał p. dr. Felsmann, któremu przypadło sądzić o tem, na co Polacy z dumą dzisiaj spoglądają i z czego w dzisiejszym rozpadku politycznym — otuchę czerpią do życia...

Czy popełniamy zbrodnią, powołując się na przeszłość naszą, o tem niech świadczy nauka i prawda historyczna. Jeżeli poczucie przeszłości tej odbija się mimowoli w dzisiejszem naszem życiu, to inaczej przedstawiać się to musi ludziom tym, którzy przeszłość naszą znają, i inaczej tym, którym ona jest obcą.

Po tem wyjaśnieniu prawdy historycznej, do jakich zmusza nas twierdzenie pana przewodniczącego, zdajemy w dalszym ciągu sprawę z obrony, z jaką wystąpił poseł i mecenas p. Chrzanowski. Stawił on wniosek o zapytanie się prowincyalnego kolegium szkolnego w Poznaniu 1) czy zdanie wyrażone w artykule pierwszym o władzy szkólnej w Chojnicach wobec uczniów polskiej narodowości nie polega na prawdzie; 2) wnosi o zawezwanie filozofa profesora pana Paulesena z Berlina jako świadka, mającego zawyrokować, czy podobne postępowanie rzeczonej władzy szkolnej nie wyjałowia umysłów młodzieży szkolnej.

Co do drugiego artykułu stawia mecenas Chrzanowski wniosek o zawezwanie profesora historyi na uniwersytecie w Kilonii, pana Thenisa, jako rzeczoznawcę, czy artykuł p. Siemieradzkiego byłego profesora na uniwersytecie w Petersburgu, a obecnie profesora w uniwersytecie ludowym w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki, w mieście Chicago nie jest ściśle naukowym. Obrońca odwołał się dalej w swym wniosku i na sąd profesora na uniwersytecie lwowskim, dr. Dowernickiego.

Że myśl zawarta w artykule profesora Siemiradzkiego, myśl o niepodległości Polski nie może być karygodną, wskazał obrońca na kwestyonaryusz redakcyi czasopisma, wychodzącego w Krakowie pod tytułem „Krytyka", w której wybitni niemieccy myśliciele, jak Kautsky, Otton Reuter i inni przyznali, że wolna i niepodległa Polska nie jest wcale mrzonką, przeciwnie jest możliwą w przyszłości.

Pierwszy prokurator pan Stamer wniósł o ukaranie naszego redaktora odpowiedzialnego za oba artykuły *na rok więzienia.* „Praca" bowiem, jak twierdził, postępuje na drodze „nielegalnej," podburzając ludność polską do walki.

Po wnioskach mecenasa p. Chrzanowskiego poszedł sąd na naradę i powróciwszy na salę sądową, zawyrokował, że odrzucił wnioski obrony, gdyż sam uważa się za kompetentnego w rozstrzygnięciu artykułów inkryminowanych. Po wywodach zaś król. prokuratora zawyrokował 10 miesięcy kaźni więziennej na p. Bestyńskiego.

Tak tedy zapadł nowy wyrok na pismo nasze, a z tym wyrokiem spadają na nas nowe koszta — istny ciężar syzyfowy.

Zatem trzech redaktorów „Pracy" znajduje się obecnie w więzieniu, i to *na trzy lata i cztery tygodnie...*

Redakcya „Pracy".

Sprawa naszego wychodźtwa.

Wędrówki ludów są w dziejach ludzkości dość pospolitem zjawiskiem, wywołanem prawie zawsze przez przeludnienie.

Dla zaspokojenia głodu opuszczały plemiona koczownicze swe siedliska, szukając w innych krainach zasobów do życia, ten sam powód wraz z chęcią rozbojów, pchał dzikie hordy tatarskie na zachód, wzrost cywilizacyi w nowszych czasach i nierówny podział bogactw jest ojcem wychodźtwa dzisiajszego, którem są objęte wszystkie narody Europy.

Nasze dzielnice należą do tych szczęśliwych krajów, którym przyroda nie poskąpiła swych darów. A jednak nie wystarczają one do wyżywienia swej stosunkowo niezbyt licznej ludności.

Jak tu jedno z drugiem połączyć?

Oto rozwiązanie całej zagadki leży w tem, że przyroda daje nam przeważnie s u r o w c e, których my w braku przedsiębiorczości nie umieliśmy sobie sami przetworzyć. Za mało pochopni do łamania się z trudnościami, nie nauczeni do wyrabiania w sobie zmysłu praktycznego, woleliśmy bez zabiegów sprowadzać przetwory niemieckiego przemysłu do siebie.

Mimo to nie dawała się ona nam tak dotkliwie we znaki, dopóki kraje zamorskie i zagraniczne nie wytworzyły dla nas niebezpiecznej konkurencyi w rolnictwie, dopóki bilans wywozu i dowozu nie wykazywał deficytów. Rzecz się całkiem zmieniła, gdy ceny zboża o połowę się zniżyły; robotnik rolny nietylko, że musiał się odtąd zadowalniać stosunkowo niższą płacą, lecz nawet nieraz pracy wcale nie mógł znaleźć. To też nie dziw, że w takich okolicznościach rozpoczął się gorączkowy ruch wychodźczy wśród klasy roboczej; gdzie kto zatrudnienie mógł znaleźć z widokami na znośną zmianę swych losów, to też tam się udawał. W tym czasie też koleje żelazne zaczęły ułatwiać te wędrówki i wychodźtwo przybrało olbrzymie rozmiary.

Początkowo wychodźtwo było przeważnie skierowane za Ocean, lecz od czasu, jak przemysł niemiecki, wzrastając po wojnie francuzkiej szybkim krokiem,

dosięgnął zenitu, fala wychodźcza zwróciła się na zachód państwa niemieckiego.

Mianowicie w ostatniem dziesięcioleciu polscy robotnicy rozproszyli się po całych Niemczech, nie ma prowincyi pruskiej, któraby nie mogła wykazać setek tysięcy naszych braci.

Gdybyśmy wszystkich wychodźców, rozrzuconych po najrozmaitszych kątach krainy niemieckiej, zliczyli, to zapewne $^1/_2$ miliona doszukalibyśmy się wśród nich.

To rozdrobnienie jest dla naszego społeczeństwa groźnem niebezpieczeństwem, gdyż naraża wychodźców na zgermanizowanie, więc już z tego samego powodu potrzebuje starannej opieki.

Drugie niebezpieczeństwo, wynikające z wychodźtwa, zagraża naszej ziemi wskutek braku robotnika.

Kto zna stosunki naszych ziemian, ten zapewne przewiduje, że przyszłość może na nas wielką klęskę sprowadzić, jeżeli się wychodźtwa nie powstrzyma. Już dziś bowiem wszędzie rolnicy narzekają na brak rąk do roboty, cóż to dopiero będzie, jeżeli nie nastąpi reakcya?

Reakcya atoli może dopiero wtenczas się ujawnić, gdy nasi ziemianie podniosą płacę, albo gdy przemysł niemiecki zacznie upadać. Na upadek przemysłu niemieckiego nie możemy liczyć, gdyż on raczej z dniem każdym się wzmaga, a choćby nawet się zmniejszył, to w innym kraju otworzą się nowe źródła korzystnego zarobku.

Pozostaje nam więc tylko pierwsze; nasi rolnicy będą musieli podwyższyć robotnikom płacę. Lecz w dzisiajszych stosunkach jest to zupełnie niemożliwem, gdyż wydatki gospodarzy doszły już do tego kresu, którego przekroczyć nie mogą, bez narażenia się na bankructwo.

Tylko wtenczas jest możliwa zwyżka płacy, jeżeli się jeszcze będzie umiało spotęgować wydajność ziemi. Czy i kiedy to nastąpi, o tem niech radzą rolnicy.

Inną stronę, która także prowadzi do celu, chcę tutaj poruszyć.

Zjednoczenie sił w produkcyi i konsumcyi jest dziś jedynie zdolne poprawić los rolnika i zarazem, choć tylko pośrednio, zapobiedz zwiększeniu się wychodźtwa.

Zdaje się, że i szersze koła społeczeństwa już o tem pomyślały, tworząc niedawno „Związek ziemian“. Będzie tylko zależało od tego, czy ta instytucya okaże tyle energii i siły, aby rolnictwo wprowadzić na nowe tory. Lecz choćby nawet tymczasem żadnej reformy w tym kierunku nie przedsięwzięto, to jednakowoż przyjdzie czas — i przyjdzie napewno, że nasze rolnictwo na wzór innych krajów same przez się, gnane koniecznością, zespoli swe siły.

Jako przykład może nam posłużyć Francya, gdzie wskutek zamorskiej konkurencyi ceny zboża tak dalece spadły, że gospodarze tylko w spółkach rolniczych jedyne zbawienie pochwycili i to z tak pomyślnym skutkiem, że dziś zamożność francuzkich gospodarzy jest znaną.

Tak dalece postąpiło rolnictwo francuzkie, że cała Francya stanowi prawie jedną spółkę; kupcy pośrednicy są prawie zupełnie usunięci, nikt więc rolnika nie wyzyskiwa.

Nie potrzeba nawet iść tak daleko; w Niemczech istnieje także związek agraryuszy, choć nie może się poszczycić takimi rezultatami, co Francya.

Dlaczego u nas taki związek nie miałby wydać również obfitego plonu? Dlaczego cierpimy kupców-pośredników i dajemy się wyzyskiwać przez żydów? Dlaczego nie wyzyskano u nas należycie gospodarstwa domowego?

Oto dlatego, że za mało mamy fachowego wykształcenia, za mało znajomości krajów postępowych, za mało inicyatywy. Od naszego wieśniaka nie możemy wymagać, żeby tworzył spółki mleczarskie, żeby omijał pośredników w kupnie i sprzedaży.

To jest zadaniem naszego wykształconego ogółu, aby tę kwestyą w swe ręce pochwycił. Wtenczas też byliby rolnicy nasi w stanie podwyższyć płacę robotnikom i częściowo ograniczyliby wychodźtwo.

Lecz z tem samem nie spełnilibyśmy całkowicie swego zadania wobec braci na obczyźnie. Tych bowiem, którym nie możemy dać dostatecznego wyżywienia w domu, którzy więc z naszej przyczyny muszą iść w świat daleki, musimy chronić od zagłady niemieckiej.

Jest bowiem dowiedzionem, że wychodźcy, którzy stale pozostają na obczyźnie, się niemczą, sami lub też w drugiem i trzeciem pokoleniu. Nie mniej jest pewnem, że część z niezniemczonych traci wszelkie podstawy godności człowieka przez zanik poczucia moralności jako też bratanie się z „czerwonymi braćmi.“

Tu musimy im więc przyjść z pomocą jako Polacy; lecz wychodźcy nasi mają jeszcze inne braki, do których usunięcia jesteśmy zobowiązani nietylko jako Polacy, lecz nawet jako filantropi.

Mam tu na myśli ohydne wyzyskiwanie naszych wychodźców przez agentów oszustów, ich niegodne traktowanie przez chlebodawców, wreszcie ich położenie wobec hygieny.

Mianowicie nadmierna praca w kopalniach, hutach i fabrykach wycieńcza siły fizyczne i pozbawia robotnika chęci do kształcenia umysłowego. Na tem cierpi nietylko robotnik polski, lecz każdy.

Nie chcę rozbierać bliższych szczegółów dotyczących tej kwestyi, gdyż oddaliłbym się zanadto od właściwego tematu, to tylko mniemam, że powinniśmy się pośrednio starać o zdrowotne pomieszkania dla robotników i o urządzenia dające tymże możliwość, po całodziennej pracy w kurzu i dymie, swe ciało odświeżyć.

Nie mniej powinien wiek XX. przywrócić robotnikowi jego godność człowieka, a więc powinny ustać wyzwiska, nieludzkie obejście się ze strony chlebodawców. Mianowicie nasi rodacy pod tym względem wielkich krzywd od Niemców doznają. Wyrazy, jak *„polnisches Schwein“*, *„dummer Pollake“*, *„Rindvieh“* i t. p. nie są tak rzadkiemi zdarzeniami.

To są sprawy, które klasy roboczej wogóle dotyczą i której przyszłość w swej filantropijnej hojności te prawa wywalczyć powinna; będą one korzyść stanowiły dla innych, nie mniej jak dla nas.

W szczególe zaś humanitarność nakazuje bronić naszych robotników przed bezczelnością agentów, którzy ciemnym tłumom obczyznę przedstawiają jako istny raj, wyłudzają z nich ostatni grosz, zawierają z nimi najniekorzystniejsze kontrakty i bez pracy żyją litylko z pieniędzy oszustwem nabytych.

Wystąpić przeciwko temu nakazuje już sama humanitarność. Patryotyzm zaś nakłada na nas o wiele obszerniejsze jeszcze od tych obowiązki.

W pierwszej linii jest naszem najświętszem zadaniem bronić wychodźców przed utratą wiary i języka.

Jako jedyny środek ku temu może tylko posłużyć ciągła łączność wychodźtwa z krajem rodzinnym. Nie powinniśmy więc obojętnie patrzeć na rozstrzępione garstki Polaków po wszystkich kątach Niemiec, lecz o ile możności wychodźców skupiać w liczniejszych koloniach, tak żeby germanizacya do nich nie miała przystępu. Wszelkie obcowanie z Niemcami powinno być usunięte, dlatego też każda większa kolonia winna mieć swój polski kramik, któryby umiał zaspokoić potrzeby polskiej ludności.

Dalej każda kolonia powinna mieć swe towarzystwo i swą biblioteczkę.

A co najważniejsze wychodźca zarobiwszy sobie przez kilka lat parę set talarów winien wrócić do domu i tutaj swoje gospodarstwo sobie założyć.

Lecz mógłby mi kto zarzucić, że to są złudzenia lub też może jakie piękne sny. Na to odpowiadam, że zarzut powyższy będzie słuszny, dopóki energia społeczeństwa ruchu wychodźczego w swe ręce nie ujmie.

Tylko organizacya wychodźtwa mogłaby jednym zamachem ubezwładnić zapędy germanizacyjne i umoralnić nasz lud.

A więc — reasumując wszystko, cośmy dotychczas powiedzieli — w dwoja-

kim kierunku trzeba nam działać: w domu podnosić przemysł jakikolwiek, a mianowicie przemysł rolniczy, aby poprawiwszy dolę rolnika, podnieść płacę robotnikowi, na obczyźnie zaś wytworzyć silną organizacyą i opiekować się usilnie wychodźtwem. Tylko w ten sposób zdołamy się uchronić od germanizacyi, która wprawdzie powoli, ale ze skutkiem wypiera nas z własnych domów, przywłaszczając sobie prawnie i bezprawnie coraz większe obszary polskiej ziemi, zmuszając nas do opuszczenia ojcowizny. Nie łudźmy się, że szerząc oświatę, już tem samem unicestwimy zapędy germanizacyjne, gdyż podstawą bytu umysłowego jest byt materyalny; lecz równocześnie, podnosząc się ekonomicznie, podnosimy się umysłowo podług zasady „mens sana, in corpore sano“.*)

D. F.

Nasze wiece.

Jednym z najlepszych i najskuteczniejszych rodzajów broni, jakich używamy w legalnej walce o nasze prawa narodowe przeciw germańskiej nawale, są wiece. Wiece, urządzane dziś tak często już nietylko w większych miastach, ale i w najmniejszych osadach, gdzie znajdzie się tylko grono obywateli przywiązanych do narodowości i chcących bronić wspólnej naszej sprawy — wiece owe niosą pomiędzy lud iskrę uświadomienia politycznych praw naszych, przejmują wszystkie warstwy poczuciem i świadomością walki za dobrą sprawę, są ciągłymi objawami nie milknącego nigdy protestu przeciw bezprawiom i zszeregowują nasze społeczeństwo w karną, posłuszną i solidarną rzeszę, zgromadzoną koło wspólnego polskiego sztandaru.

Rozpoznając niezmierną polityczną doniosłość wieców pismo nasze od samego początku najnowszego tego ruchu wiecowego, mianowicie od t. zw. wieca „generalnego“, a raczej walnego, w Poznaniu, konsekwentnie stoi na stanowisku tem, że obowiązkiem każdego obywatela jest ruch wiecowy szerzyć i podtrzymywać; zdajemy też sprawę z przebiegu większości wieców — niestety, charakter naszego pisma, jako tygodnika, z góry już wyklucza możność szczegółowego i szybkiego informowania opinii publicznej o przebiegu wieców. Dlatego też i dziś musimy się ograniczyć na zestawieniu w jednym artykule wszystkich czterech wieców — ubiegłego tygodnia. Nic dziwnego, że w referatach z wieców spotykamy nie tylko te same myśli, ale częstokroć i te same słowa. Nie chodzi więc nam tyle o przytoczenie wszystkich wygłoszonych mów, ile o uchwycenie, że tak powiemy, fizyognomii wieca, tego pewnego czegoś, co nadaje wielogłowej całości charakter. Przyczyna i powód wieców to obrona języka, obrona wiary, obrona narodowości. Myślą zaś zasadniczą doprowadzenie jak najszerszych mas do świadomości, że tak język, jak wiara, jak całe życie narodowe zagrożone, i że dziś każdy, co ma krztę w sobie krwi polskiej i myśli polskiej, powołany do obrony tych skarbów, tej naszej wyłącznej własności.

*) Szanownego autora niniejszego artykułu prosimy o częstszą pamięć o nas. *Red.*

Wiec w Szamotułach.

Na wiecu szamotulskim jasno zaznaczono, że wiece te nie są żadną demonstracyą, że wiece te nie dążą żadnym sposobem do podburzania, do wywoływania rozgoryczenia, do oporu przeciwko rządowi, lecz że naród polski odczuwa i pojmuje, jakich praw na mocy gwarancyi królewskich, na konstytucyi opartych dopominać się może i że od żądań tych na włos nie odstąpi i bronić ich będzie na wszelki możliwy legalny sposób. I to sposobem samoobrony, sposobem samopomocy, sposobem pracy nad sobą, w sobie i dla siebie.

Wiec otworzył na sali p. Studniewskiego, w niedzielę dnia 21 z. m. o godz. 4-tej, p. Wojciech Łubieński z Kiączyna. Miał mówca i wdzięcznych i licznych słuchaczów, bo i sala obszerna i galerye kryte około sali i boczne pokoje były przepełnione. Piękne to było przemówienie.

I co teraz się stało, tak słusznie zapytał się zagajający wiec w Szamotułach, pan Wojciech Łubieński z Kiączyna, że wiece się odbywają. Czyż może dzikie hordy Wschodu napełniają Polskę, czyż może zwołują na wyprawę przeciw Turkom, czy może znowu poseł cesarski i Papieża przyszedł z błagalną prośbą, aby Polacy ratowali Wiedeń i chrześcijaństwo? Nie, wiece zwołują ludzie dobrej woli, aby zaprotestować przeciw rozporządzeniom rządu, aby pokazać, że spełniło się to, o czem marzył nieśmiertelny Zygmunt Krasiński, że lud polski uznaje krzywdy i protestuje przeciwko nim!

Pierwszym mówcą był pan Kulesza z Szamotuł. Opierając się na traktatach wiedeńskich, na słowach króla Fryderyka Wilhelma IV, że w swojem i następców imieniu przyrzeka szanować język polski, ustanawiać urzędników polskich, wskazał na krzywdy nasze.

Następnie przemówił robotnik Krzyżaniak z Szczuczyna, zaklinając rodziców, aby dzieci swe uczyli po polsku. Mówca pracuje pod panem, jest komornikiem, ma jedenaście dzieci, a wszystkie nauczył czytać i pisać po polsku.

Cześć mu!

Walczył mówca pod Sedanem, polskie melodye przygrywano Polakom — dzisiaj wojsku u Polaków kupować nie wolno.

Gospodarz Rogalski z Piaskowa podniósł, że jedna myśl sprowadziła wiecowników na narady, — a to myśl obrony. Gdzież się podziały przyrzeczenia, że Polacy będą na urzędach? Czemuż bojkot na wszystkich liniach? Czemu nie wolno Polakom od kolonizacyi kupować parceli?

Oprócz tego przemawiał jeszcze pan Nowaczyk, włódarz z Starego, o prześladowaniu języka polskiego w sądach i p. Białasik, mistrz stolarski ze Szamotuł, w sprawie samopomocy, w nauce języka polskiego. Następny mówca robotnik Domiński z Psarskiego ostrzegał w swem przemówieniu przed wychodźtwem na obczyznę.

Z pomiędzy przybyłych na wiec duchownych przemówił z temperamentem i dosadnio ks. Pieniążkiewicz z Psarskiego.

Wreszcie kończy wiec p. Łącki. — Mówi krótko i dobitnie, ale umie podnieść cel wieca, że nie dla demonstracyi, lecz aby zorganizować się do legalnej obrony się zebraliśmy. Lecz wiec sam nie dopełni celu, jeżeli jednej nie pozbędziemy się wady, którą nam już wytknął Ojciec święty Pius IX, **braku wytrwałości.**

Po tem przemówieniu odczytał mówca rezolucye znane już z dawniejszych wieców. Rezolucye jednogłośnie przyjęto.

Wiec w Jelonku.

Wiec w Jelonku pod Gnieznem zgromadził przeszło 500 uczestników.

Podług referatu „Kuryera Pozn.“ policyą reprezentował komisarz p. Günther z Poznania. Wiec zagaił gospodarz p. Dybizbański z Szczytnik, przewodniczył mu ks. prob. Mierzejewski z Niechanowa.

„Wiadomo — prawił p. Dybizbański — jaka ciężka nasza dola. Wyparto nam język ojczysty ze szkół, a w ostatnim czasie targnięto się na naukę religii św. Ba, i w innych gałęziach życia publicznego krzywda nam się dzieje. Wypowiedziano nam wojnę na polu pracy i zarobkości. Czyż w obec tych wszystkich prześladowań założymy ręce bezczynnie i pozwolimy sobie wydrzeć wszystko, cośmy odziedziczyli po ojcach naszych? Nie! na to przecież nigdy zgodzić się nie możemy, bo zasłużylibyśmy na wzgardę całego świata.“

Ogrodnik Rakoczy z Arcugowa mówił o ogólnem położeniu politycznem ludności polskiej, gospodarz p Woźniak z Goczułkowa mówił o szkole i hakatystach.

Następnym mówcą był gospodarz Kozanecki z Niechanowa. Ten przemawiał o krzywdach, jakie nam wyrządzają hakatyści, o usuwaniu nas z urzędów i o bojkotowaniu ze strony władz wojskowych.

Dalszym mówcą był robotnik Kucharski z Niechanowa. Mówił o krzywdzie dzieciom szkólnym wyrządzanej przez władze szkólne i zachęcał do pilnej nauki dzieci w rodzinach i katechizmu i nauki czytania i pisania po polsku.

Pan Kaszyński mówił o religijnem wychowaniu i wzywał wiecowników, żeby w każdej polskiej rodzinie był nie jeden, ale tyle elementarzy polskich, ile jest dzieci, że trzeba nie szczędzić wydatków na elementarze, na książki polskie i na gazety.

Pan Zmura mówił o oszczędności i przestrzegał przed zbytkami.

W końcu przemówił p. dr. Rzewuski z Arcugowa i przedłożył rezolucye podnoszące potrzebę obrony wiary i języka na drodze legalnej.

Przebieg wieca, w którym uczestniczyło około 500 osób, był spokojny i poważny i wszyscy byli z niego zadowoleni.

Wśród grona wieśniaczek widzieliśmy także panią hr. Żółtowską z Niechanowa, prawdziwą panią polską, która w szczęściu i nieszczęściu trzyma z pol-

skim ludem, a którą też lud ten czci i szanuje.

Wiec w Gostyniu.

Przechodzimy teraz do następnego wieca, który się odbył, a raczej był rozwiązany przed ukończeniem — w Gostyniu.

Wiec ten będzie na długo pamiętnem wydarzeniem i zapisze się w sercach uczestników, jako pamiątka pierwszego wypadku, gdy władza przeszkodziła dokończeniu. Jak ujrzymy z przykładu wieca w Kiszkowie, kto wie, czy wszystkie nasze wiece nie będą narażone na taki sam los — i czy w tych rozwiązaniach nie tkwi też — jeden z licznych objawów całego systemu?

Na wiec gostyński, który się odbył 21 kwietnia, zgromadziły się tłumy okolicznych włościan, przybyłych nawet ze stron dalszych, oraz poważny zastęp mieszczan gostyńskich. Sala p. Jankiewicza, największa w mieście, zapełniła się wiecownikami szczelnie, wielu wiecowników nie mogło się docisnąć wewnątrz i musiało zostać na dworze.

Powiedzieć możemy, że takiego zapału, ale też z drugiej strony takiego rozgoryczenia i oburzenia na krzywdy wyrządzane ludowi i całemu społeczeństwu, z pogwałceniem jego praw obywatelskich, nie zauważyliśmy na żadnym wiecu. Mówcy nie mogli spokojnie przemawiać, mowy ich bowiem przerywano nieustającemi oklaskami, okrzykami, a nie rzadko wyrywały się z piersi wiecowników głosy protestu, stwierdzające słuszność wywodów.

Szkoda, że na wiecu wczorajszym nie był który z ministrów, przekonałby się bowiem, co Gostyniacy i włościanie okoliczni sądzą o systemie praktykowanym przez rząd względem społeczeństwa polskiego. Umysły były tak wzburzone, że przewodniczący bezustannie musiał wiecowników nawoływać do zachowania powagi i spokojnego wysłuchania mówców, a reprezentant policyi wciąż gestykulacyą zdradzał zamiar rozwiązanie wieca, co też wreszcie uczynił. Ale oto przebieg wieca:

Komitet, z hr. Żółtowskim z Godurowa na czele i miejscowym Księdzem Proboszczem, zajął o godz. 4 na wzniesieniu miejsce, poczem powitał zgromadzonych p. Józef Woziwodzki, zaznaczywszy pokrótce, w jakim celu został wiec zwołany.

Gdy skończył, okrzyknięto marszałkiem wieca p. hr. Marcelego Żółtowskiego z Godurowa; sekretarzem wybrano dr. Granatkiewicza.

Po ukonstytuowaniu zarządu, marszałek wieca hr. Żółtowski dziękuje za wybór, potem przedstawił przybyłego na wiec posła p. Józefa Głębockiego i przeczytał pismo księcia Czartoryskiego, bawiącego chwilowo w Berlinie, który uniewinnia w piśmie swą nieobecność.

Nastąpiły mowy całego szeregu mówców, jak robotnika p. Kolendowicza, p. Michała Dabiańskiego, oraz gospodarza p. Ciszewicza z Lipia, wygłoszona z zapałem i z zapałem przyjęta. Mówca powiedział bowiem: „Głos nasz protestu niech rozbrzmi po całym świecie. My nie żądamy niczego więcej jak sprawiedliwości“. Jakby na dany znak wzniósł się na sali z tysiąca piersi potężny okrzyk: Sprawiedliwości! sprawiedliwości! sprawiedliwości!

Na chwilę zapanowało na sali milczenie, dopóki go nie przerwał czwarty mówca p. Konieczny z Gostynia. Niestety! był to mówca ostatni. Zaczął od tego, że pomimo zagwarantowanych nam przyrzeczeniami królewskiemi praw, rząd sam je uszczupla. Od roku 1870 — tak mniej więcej mówił — buta i zarozumiałość niemiecka nie mają granic. Od tego też czasu datują się wszystkie klęski, jakie na nas spadają z Berlina. P. K. omawiał dosadnio i wyczerpująco hakatyzm pocztowy, a lud wołał: „My nie umiemy adresować po niemiecku — piszemy i będziemy pisali adresy po polsku“. P. Podbielski — powiada dalej p. Konieczny — sądził, że nas zmusi do wyparcia się języka polskiego, jak on tego języka się wyparł. (Okrzyki: Hańba!) Hakatyzm idzie jeszcze dalej, bo nas chce ogłodzić. Dowodzi tego rozporządzenie wojskowe, wydane w Poznaniu, aby kupowano tylko od Niemców. (Ogromne oburzenie.) Polacy przelewali krew za ojczyznę prusko-niemiecką, a dziś mają zmarnieć. (Głosy: Nigdy przenigdy!) Gdy następnie p. Konieczny wspomniał o rzekomym „związku rewolucyjnym młodzieży“ i opowiedział, że nawet młodzieży polskiej nie przypuszczają do egzaminów pod pozorem, że należy do owego urojonego „związku“ — padło na sali słowo: Zbrodniarze!“

W tejże chwili zerwał się dozorujący wiec komisarz kryminalny p. Augustini z Poznania i oświadczył marszałkowi, że wiec rozwiązuje.

P. Augustini twierdził, że zbrodniarzami nazwano sędziów i przedstawicieli rządu i dlatego na dalsze rozprawy nie pozwala.

Mówcy p. Koniecznemu zabrał rękopis mowy i już jej nie pozwolił dokończyć.

Zrobił się zgiełk i tumult. Obecny na wiecu poseł p. Głębocki, uspakajał wzburzoną publiczność, również i pan hr. Żółtowski prosił, aby się spokojnie zachowano, gdyż burdami pogorszonoby sprawę.

Komisarzowi czyniono różne przedstawienia, że niewiadomo do kogo wykrzyknik się odnosił i że niepodobna za jeden wykrzyknik zgromadzenia rozwiązywać, ale komisarz postanowienia nie cofnął.

Wezwani wiecownicy salę opuścili, gdy na salę weszli żandarmi.

Tak się zakończył ten pamiętny wiec.

Wątpliwem bardzo jest, czy rozwiązanie to wieca było legalne i czy nie sprzeciwia się prawu o zebraniach i stowarzyszeniach z dnia 11 marca 1850 r. § 5 tego prawa brzmi:

Die Abgeordneten der Polizeibehörde sind, vorbehaltlich des gegen die Betheiligten gesetzlich einzuleitendenten Strafverfahrens, befugt, sofort die Versammlung aufzulösen, bezüglich deren die Bescheinigung der erfolgten Anzeige (§§ 1 u. 3) nicht vorgelegt werden kann. Ein gleiches gilt, wenn in der Versammlung Anträge oder Vorschläge erörtert werden, die eine Aufforderung oder Anreizung zu strafbaren Handlungen enthalten, oder wenn in der Versammlung Bewaffnete erscheinen, die der Aufforderung des Abgeordneten der Obrigkeit entgegen, nicht entfernt werden.

(Reprezentantom władzy policyjnej służy, z zastrzeżeniem wystąpienia sądowokarnego przeciw interesowanym, prawo natychmiastowego rozwiązania zebrania, jeżeli zwołujący nie może się wykazać poświadczeniem, że zostało zameldowane (§§ 1 i 3). To samo prawo służy im, jeżeli na zebraniu *dyskutuje się wnioski lub propozycye*, zawierające wzywanie lub podburzanie do czynów karygodnych, lub jeżeli na zebraniu znajdują się ludzie uzbrojeni, których, mimo odnośnego zawezwania reprezentanta władzy, z niego nie usunięto.)

Wobec takiego brzmienia § 5 wzwyż nazwanej ustawy trzeba przyjść do przekonania, że urzędnik rozwięzujący wiec gostyński, atrybucye swoje przekroczył. Rozwiązanie to byłoby uzasadnione, gdyby słowo, które padło z pośród zebranych, było wyszło z ust mówcy.

Gdyby podobne wykrzykniki z łona zebrania miały być — w myśl ustawy — dostatecznym powodem rozwiązywania wieców, to prawo zgromadzania się na wiece byłoby wprost iluzorycznem. Mógłby bowiem na każdy wiec wnijść pierwszy lepszy wysłannik niechętnych sprawie, dla której wiec zwołano i nie kwalifikującym się wykrzyknikiem wiec udaremnić.

Takie interpretowanie odnośnego paragrafu ustawy jest jednakowoż bezwątpienia fałszywe.

Zachowanie się podobne nieprawidłowe pojedyńczej jednostki wśród słuchaczy, może tylko spowodować pociągnienie do odpowiedzialności wykraczającego, nie może zaś stanowić powodu do rozwiązania zgromadzenia.

Wiec w Kiszkowie.

Po załatwieniu wstępnych formalności, udzielił przewodniczący (ksiądz proboszcz Jaśkowski z Dziekanowic) głosu p. Dziembowskiemu z Pawłowa.

Mówca wskazał na odwieczną sprawiedliwość Boską, która i dla nas pozwoli zaświtać gwiazdce lepszej doli, a wtedy na zegarze wieków godzina swobody ducha wybije.

Ksiądz przewodniczący zapytuje obecnych, czyby kto nie chciał zabrać głosu w tej kwestyi. Na to się zebrani tłumnie zgłaszają. Następny mówca p. Wiśniewski zastrzega się, że go nikt do przemówiena na obecnym wiecu nie namawiał i nikt mu też mowy nie napisał, on sam poczuł potrzebę, aby publicznie wypowiedzieć krzywdy, jakie się jemu i wszystkim Polakom dzieją.

W czasie przemowy p. Wiśniewskiego powstał komisarz policyjny p. Günther, w żywej gestykulacyi przybliżył się do komisarza p. Thyma, i wskazując mu swoje zapiski, oświadczył, że „die Versammlung muss aufgelöst werden“, — co ten też wypełnił, ogłaszając rozwiązanie wieca. Na te słowa członkowie prezydyum wiecowego zapytali p. Günthera, co właściwie było powodem rozwiązania wieca, na co ten odpowiedział: „*die Schlussworte des Vorredners*“ (zakończenie mowy poprzedniego mówcy p. Dziembowskiego).

Na taki argument nie było innej rady, jak lud bardzo licznie zebrany wezwać do rozejścia i spokojnego zachowania się, chociaż już ten sam przez sie-

bie — widząc taką sytuacyą — rozgoryczony, ale ze spokojem i godnością opuszczał salę.

Widzimy otóż w tak krótkim czasie dwa wiece rozwiązane! Osławiona wolność zgromadzania się staje się w państwie pruskiem iluzoryczną! Ci, co w r. 1848 nie żałowali krwi własnej, aby wywalczyć konstytucyę, niemałoby się zdziwili, gdyby usłyszeli, że wiec się rozwiązuje za to, że mówca każe się spodziewać „lepszej doli!“ *W.*

Nasz teatr.

Witając naszą drużynę artystyczną na początku ubiegłego sezonu, wyraziliśmy życzenie, aby teatr nasz był w zwiększonej, niż przedtem, mierze — kolebką żywego słowa polskiego i polskiej myśli, którą nasi wieszczowie i pisarze przemawiają do społeczeństwa, rozbudzając szlachetne uczucia, wznosząc dusze ku wyżynom artystycznego pojęcia piękna i umiłowania ideału: bowiem myśl ta, im wznioślejsza, tem prostszą i przystępniejszą jest dla całego ogółu, zarówno dla wielkich — jak i dla maluczkich. Życzyliśmy zatem teatrowi naszemu powodzenia na drodze zdemokratyzowania naszej sztuki, na drodze uprzystępnienia jej *całemu* ogółowi.

Nie dla grona wybranych jednostek, ale dla tych właśnie warstw najszerszych, którym dziś najbardziej potrzeba zapoznania się z dziełami naszych mistrzów słowa, ma istnieć teatr w Poznaniu.

I dyrekcya nie zawiodła tych naszych oczekiwań. Cały miniony sezon świadczy zarówno o wysokich artystycznych aspiracyach przewodnika tej naszej drużyny artystów, jak i o głębokiem przejęciu się misyą społeczną, którą teatr wśród nas spełniać powinien w większej jeszcze mierze, niż w innych europejskich społeczeństwach.

O wykonaniu — a więc o tej czysto artystycznej stronie — nie mówimy, to bowiem należy z natury rzeczy do prerogatyw naszego sprawozdawcy teatralnego; ale z prawdziwą przyjemnością stwierdzić możemy, że obok artystycznego wykonania, granych na naszej scenie utworów, które w całej pełni oceniamy i uznajemy — sam układ i dobór repertoaru świadczył o tem, jak dobrze pojmuje nasz dyrektor swe zadanie i jak sumiennie je spełnia. W doborze sztuk widzimy zawsze umiejętną jego dłoń, która czuwa nad tem, aby ze sceny przemawiali w pierwszym rzędzie nasi, polscy pisarze, ci mianowicie, z dzieł których wionie żywa, szlachetna i podniosła idea przewodnia; ale zwracając uwagę na to, aby teatr pod jego przewodnictwem kształcił serce przez te podniosłe idee, które przemawiają do duszy społeczeństwa, pobudzając do pracy, dodając otuchy i nadziei, przedstawiając ostateczny tryumf dobrej sprawy — dyrektor nasz nie zapomniał o tem ani na chwilę, że te właśnie potrzeby społeczne i specyalne lokalne warunki Poznania mogłyby zamknąć artystyczne aspiracye w zbyt ciasnym zakresie etycznych komunałów; dopuszczając przeto do głosu współczesnych autorów obcych, i to najwybitniejszych, starał się kształcić i rozszerzać również widnokrąg artystyczny społeczeństwa.

Niemałe to zasługi, jeśli się zważy, że teatr nasz musi co tydzień parę premier wystawić, — że zatem praca przygotowawcza jest daleko trudniejsza i wytężona.

Ludzie dobrej woli, a myślący, obywatele gorętszego, prawdziwie polskiego serca — umieli też w zupełności ocenić wysiłki, starania i zabiegi p. dyrektora Rygera, których tenże chyba nie szczędził około podniesienia naszego teatru pod względem artystycznym; dzięki naszemu dyrektorowi teatru znaleźli się obywatele godni, którzy — jak się właśnie z absolutnie wiarogodnego źródła dowiadujemy — poświęcili na upiększenie teatru przeszło 30,000 marek, wskutek czego teatr nasz w ciągu lata będzie wewnątrz zupełnie odnowionym; ulepszonem mianowicie będzie ogrzewanie teatru, zaprowadzone wspaniałe oświetlenie, bogate dekoracye, w lożach krzesła wyściełane, okazałe lustra w korytarzach, kryty przedsionek dla pałących, dogodniejsza garderoba dla dam itp. Zatem dzięki hojnej ofiarności kilku wspaniałomyślnych obywateli i zawsze niestrudzonej zapobiegliwości p. dyrektora Rygera — w przyszłym sezonie powita nas scena poznańska w tak ozdobnej, wykwintnej szacie, jaką chyba tylko w teatrze wielkim w Warszawie spotkać można.

Dzięki więc ofiarodawcom i dzięki dyrekcyi, która — pomimo tak trudnych warunków — wytrwałą a rzetelną pracą — potrafiła zjednać sobie tyle sympatyi i uznania.

Niech te sympatye szerokiego ogółu będą dyrekcyi zapłatą, a zarazem zachętą i dobrą wróżbą na przyszłość...

Za wielką też zasługę poczytujemy dyrekcyi teatru, że nietylko starała się nasze poznańskie sfery mieszczańskie i młodzież przyciągnąć i przyzwyczaić do teatru, ale że nadto i o prowincyi pamiętała. Wycieczka do miast prowincyonalnych, z urozmaiconym a doborowym programem, była istotną zasługą naszego teatru, która oby w następnych latach w stary zwyczaj się przerodziła.

Obecnie — gdy sezon się oto już skończył — powinszować tylko możemy Dyrekcyi tych wszystkich sukcesów; wyrażamy nadzieję, że z roku na rok za moralnymi i materyalne sukcesy towarzyszyć jej będą w pracy — a Poznań wdzięczność i uznanie swe wyrazić potrafi.

Żegnając naszych artystów i Szanownego ich Przewodnika, którzy zapewne jak zwykle udadzą się do Królestwa na letnie występy, życzymy im tam dużo powodzenia i zaręczamy, że powrót ich na — posterunek będzie dla nas miłem, jeśli się tak wolno wyrazić, familijnem świętem.

Do widzenia więc... *M. B.*

Z blizka i z daleka.

Otrzymaliśmy sprawozdanie roczne „Banku Ziemskiego“ i „Banku Włościańskiego“ w Poznaniu.

* * *

W Swieciu (w Prusach Zach.) za inicyatywą pana Jana Borowicza i Jozafata Kwiecińskiego zawiązało się Towarzystwo polskie. Przewodniczącym wybrano pana

Tomasza Jackowskiego, sekretarzem pana Maryana Drapiewskiego. Od razu wstąpiło przeszło 20 członków. Towarzystwo nosi nazwę „Katolickie Towarzystwo Młodzieży Polskiej „*Oświata*“.

Szanownemu Towarzystwu życzymy wiele, wiele szczęścia w podjętej pracy dla dobra społeczeństwa.

* * *

Towarzystwo Przemysłowców Polskich w Dortmundzie, pozostające pod kierownictwem dzielnego p. Jana Kolendy, nadesłało nam sprawozdanie roczne z walnego posiedzenia.

Towrzystwo założono w roku 1899. Wskutek intryg wykluczonych członków Towarzystwo zostało przez policyę uznane za polityczne, a wreszcie nawet aresztowano pana Kolendę i Mellerowicza, ale ich uwolniono. — Towarzystwo uchwaliło zajmować się sprawami publicznemi i zwoływać wiece w celu organizowania obrony przed germanizacyą za pomocą wieców polskich. Towarzystwo liczy 54 członków.

Życzymy tak młodemu a już zasłużonemu Towarzystwu dalszego rozwoju i powodzenia.

* * *

Zjazd Kół śpiewackich z Westfalii i Nadrenii odbędzie się w roku bieżącym w Wanne (Westf.) dnia 28-go lipca. W zjeździe tym wezmą udział p. Dembiński, muzyk z Poznania, p. Czypicki z Koźmina i dwóch rodaków z Księstwa.

* * *

Z Wildungen donoszą, że zmarł tamże Gustaw Kollath, inspektor policyi bydgoskiej. Kollath cierpiał na kamień i był przed pół rokiem w klinice w Berlinie operowanym. Ponieważ zdrowie jego nie polepszało się, przeciwnie K. z powodu słabości musiał podziękować za urząd, przeto dla poratowania zdrowia pospieszył do Wildungen, gdzie po dwutygodniowym pobycie oczy zamknął. Zmarły odznaczał się wielką prawością charekteru, był dla polskiej ludności względny i uprzejmy i często się zdarzało, że to — na co w wyższych sferach pozwolenia nie udzielono, K. załatwiał sam po cichu.

Razu pewnego wydawca „Gaz. Bydg.“ p. St. Tomaszewski miał zapłacić karę. Kollath odebrał rozkaz aresztowania go, gdyż kara nie była jeszcze zapłaconą. Każe więc p. Tomaszewskiego wołać na policyą i — jak czytamy w „Lechu“ — pyta z otwartą serdecznością: — Panie, mam pana aresztować, gdyż pan nie zapłaciłeś kary, może nie masz pieniędzy, to ja chętnie wyłożę...

* * *

Z Lipusza (na Kaszubach) otrzymujemy list z prośbą, aby zachęcić wiarusów w tamtejszych stronach do wstępowania do Kółek rolniczych, których tam istnieje pięć, a niektóre liczą przeszło po 100 członków, a to dzięki pracy i staraniom Wiel. X. X. Bolta i Wróblewskiego. Korespondent ubolewa tylko, że żydzi odgrywają na Kaszubach tak znaczną rolę, a lud nie nauczył się jeszcze popierać *swoich.*

* * *

Z Lublińca, na Górnym Śląsku, otrzymujemy wiadomość, że sędzia tamtejszy M. (w razie potrzeby służymy nazwiskiem i dowodami) wyraził się przy rozprawie sądowej: „*Es ist eine Schande, dass in hiesiger Gegend noch polnisch gesprochen wird.*“

I my też odpowiadamy na to: „Das ist eine Schande,“ jeśli się urzędnik i to sędzia tak wyraził.

* * *

W Lütgendortmund (Westf.) urzędnik stanu cywilnego nie chciał zapisać syna p. Dąbrowskiego jak się należy, lecz tylko — Dabrowsky. *Z...*

Z TYGODNIA.

Choćbyśmy chcieli niniejszą rubrykę zachować wolną od zarazy hakatystycznej i zarezerwować ją dla politycznych wypadków zagranicą, okazuje się to niemal niepodobieństwem, hakatystyczne rozporządzenia bowiem sypią się jak z rogu obfitości.

Do tego szeregu w ostatnich tygodniach przybyło nowe, które usunęło naukę języka polskiego z planów szkół gimnazyalnych i realnych całego Księztwa Poznańskiego. Równocześnie wykład religii, dotychczas polski, zastąpiono wykładem niemieckim.

„Posener Tageblatt“, uniżony sługa hakatystów, dał do zrozumienia, że „zmiana“ ta nastąpiła wskutek rewizyi odbytych u uczniów gimnazyalnych przed kilku tygodniami.

Aha! Więc zamach był z góry uplanowany. Trzeba było tylko znaleźć coś, na co możnaby się choć pozornie powołać.

Szkoda jednak, że panów z Berlina opuściła tym razem niemiecka flegma. Przecież chłopcy, z których uczyniono zbrodniarzy za to, że czytali Mickiewicza i Słowackiego — nie zostali jeszcze osądzeni. Należało czekać na wyrok.

„Co nagle, jednak to po dyable“ — to też rozporządzenie ostatnie może wywołać nieprzyjemne dla hakatystów skutki. Opinia publiczna jest wprost oburzona.

We wszystkich sferach zaczyna się budzić wprost nienawiść do wszystkiego, co nosi pruski charakter. Co raz więcej zaczyna się budzić poczucie świadomości nawet w tych, których uśpiła niemiecka cywilizacya.

I tak więc coraz bardziej zaczyna kraj nasz stawać się widownią walki, prowadzonej na każdym kroku, zacięcie i zajadle, otwarcie i skrycie, przez rząd i przez ludność. Na czem się to ma skończyć?

Dodać też trzeba niezmierne rozgoryczenie, ogarniające najszersze koła na widok nędzy ekonomicznej, w jaką pcha naszą prowincyę rządowa polityka. Dużo się mówi w Berlinie o „podniesieniu dzielnic wschodnich“ — ale mówiąc o podniesieniu przemysłu panowie ci mają na myśli tylko niemiecki przemysł, o rólnictwie mówiąc — mówią o rólnictwie *niemieckiem.* A tu tymczasem nasz lud musi emigrować. Jak piszą gazety niemieckie, rzadko kiedy był taki gwałtowny napływ szukających pracy polskich robotników, jak tej wiosny. Ponieważ podaż stanowczo przewyższa popyt, więc w ostatnich dniach zauważyć się daje pewien zastój w wysyłce robotników na roboty, chociaż codziennie osobne pociągi zabierają tysiące osób przybyłych z Rosyi i Austryi w głąb Niemiec. W pogranicznej miejscowości Praszce, która jest stacyą przejściową do Prus, przy wizowaniu pasportów i rewizyi pakunków panował ścisk piekielny. W tłoku dziecko malutkie, które na ręku niosła jakaś robotnica, zostało uduszone. Innej kobiecie złamano rękę. Gorzej jeszcze wyszli ci, którym się sprzykrzyło czekać, oraz inni, którzy nie mieli w porządku pasportów. Całe masy tych ludzi wpław zaczęły przechodzić przez rzeczkę graniczną. Wskutek deszczów, które obficie spadły w ciągu dni ostatnich, rzeka wezbrała. Biedacy brnęli na oślep, węzełki niosąc na głowach, brnęli coraz dalej, aż woda sięgała im do ust. W tej przeprawie utonęło 10 osób.

Nie wiele są uszczęśliwieni ci, którym udało się dotrzeć do Kluczborka. Zapotrzebowanie robotnika jest już pokryte w zupełności — nastąpiła więc stanowczo reakcya. W okolicach Kluczborka i Oleśna tysiące robotników napróżno oczekują na chlebodawców. Robotnicy wracać jednak nie chcą, obawiają się bowiem, że po raz drugi nie otrzymają przepustek. Wydawszy więc ostatnią kopiejkę, przymierają głodem.

Niestety, gdy spojrzymy na drugą dzielnicę Polski, na Galicyę — i tu nas ta sama nędza uderzy odrazu. Dawna gospodarka rządu austryackiego, z czasów, gdy jeszcze nie było konstytucyi, strasznie zubożyła kraj cały.

Dziś, gdyby rząd centralny z jednej, a rząd krajowy z drugiej strony chciał nawet dołożyć starań, aby złe naprawić, już często niema sposobu. Mianowicie rolnictwo w strasznym jest stanie z powodu dewastacyi lasów.

Ale odwróćmy oczy od tych smutnych faktów — na pole polityki zagranicznej.

Z Londynu donoszą o nieciekawem zajściu, które świadczy o wewnętrznym rozkładzie kościoła anglikańskiego.

Na opróżnioną londyńską stolicę biskupią zamianował król następcę w osobie dra Winnington-Ingram'a, który do dni ostatnich był jednym z sufraganów zmarłego biskupa, równocześnie pastorem jednej z najrozleglejszych i najuboższych parafii wschodniego Londynu. Jak większość dzisiejszych prałatów anglikańskich dr. Ingram jest przeciwnikiem teoryi, według której kościół urzędowy powinien być przedewszystkiem — protestanckim. A już nietylko hierarchia, lecz prawie cały kler młodszy tego kościoła odpycha ze wstrętem wszelką cechę protestantyzmu, dąży do skatolicyzmowania się ze staremi kościołami, zachodnim i wschodnim, nietylko na dogmatycznym gruncie, lecz i na obrządkowym... o ile to możebne. Ztąd pochodzi dzisiaj potężna w anglikanizmie tendencya do ujawniania dogmatów rytuałem obrządkowym. W tej to tendencyi widzi przemożne sekciarstwo (pozostające mniej lub więcej szczerze protestanckiem) stopniowe zaprzeczanie tezom reformacyi, niechybne ciążenie ku... Rzymowi.

Król mianował dr. Ingram'a biskupem Londynu, zależnie pro forma od wyboru kapituły i wszystkich wiernych w dyecezyi. Wkrótce więc po nominacyi, zebrała się kapituła w starożytnym kościołku śródmieścia; przy stole, ustawionym przed ołtarzem, zasiedli dygnitarze i komisarze parlamentarni — biskup-elekt zajął krzesło na uboczu. Kościół był przepełniony... „wiernymi," t. j. ciekawymi. Wiedziano, że był obecny Kensit z synem i szczególnie silna falanga stronników; wiedziano, że przeciw temu wyborowi założony będzie protest... ale ponieważ na to rady być nie mogło, zaczęto posiedzenie od odczytania nominacyi i stosownych modlitw. Potem... komisarz naczelny, zwracając się ku publiczności, zapytał, czy jest kto, mający co przeciw wyborowi. „Jeżeli jest — dodał, odczytując głośno formułę — to niechaj spełni swój święty obowiązek, niech teraz się odezwie!"

Na tak wyraźne i uroczyste zaproszenie, powstał zaraz wielebny Karol Fillingham i „jako protestancki członek protestanckiego Kościoła Anglii", sprzeciwił się wyborowi nominata, „ponieważ tenże nie jest lojalnym i wiernym członkiem Kościoła, bo brał udział w obrzędach w pogańskich świątyniach... mianowicie u św. Augustyna w Stepney, i u św. Chad'a w Haggerston. Po tem oskarżeniu, powstał w kościele hałas nie do opisania, świstanie, gwizdanie, oklaski itp. Następnie protestował Kensit, oskarżając nominata o... „niemoralną moralność," polegającą na tem, że jako sufragan nie przestrzegał czystości protestanckiej liturgii. Jeszcze kilku innych „wiernych" wniosło swoje zarzuty wśród ciągłej wrzawy, pogróżek, śmiechów i krzyków oburzenia — potem komisarz oświadczył, że... niema jurysdykcyi, obejmującej treść założonych protestów, ogłosił dokonany, legalny wybór dr. Ingram'a! Natychmiast też zakończono posiedzenie, elekt podpisał pergaminy — i wierni wyszli z kościoła, by na ulicach dokończyć argumentów.

Zupełnie, jak w parlamencie austryackim! *K. O.*

PRZEGLĄD PRASY.

Do wprost zdumiewających swą szczerością projektów zdławienia narodowości polskiej dochodzą główne organy prasy hakatystycznej. Parę dni temu **„Deutsche Zeitung"** obwieściła światu taki spis „nieodzownych dla uratowania państwa" środków przerobienia Polaków na Niemców:

„Nasamprzód polecałoby się, aby na miejsce naczelnego prezesa w Poznaniu ustanowiono niezwłocznie jenerał-gubernatora z władzą dyktatorską i pozostawiono go w urzędzie dopóty, dopóki nie nastąpi nowe uregulowanie stosunków na wschodzie. Do tego uregulowania rzeczy zaliczam głównie podział dzielnicy poznańskiej.

„Podział powinien nastąpić w ten sposób, że w każdym z nowych związków prowincyonalnych przeważałaby znacznie ludność niemiecka i przedstawiamy go sobie, naturalnie w zarysach tylko, jak poniżej:

1) a) Obwód rejencyi wrocławskiej z wyjątkiem powiatów ścinawskiego, górskiego i wołowskiego, ale z włączeniem poznańskich: kępińskiego, ostrzeszowskiego, odolanowskiego, ostrowskiego, pleszewskiego, krotoszyńskiego i

b) obwód rejencyi opolskiej tworzy dzielnicę ślązką.

2) a) Obwód rejencyi lignickiej włącznie z powiatami ścinawskim, górskim i wołowskim, oraz frankfurtskie powiaty żorowski, krośnieński i gubeński i

b) obwód rejencyi poznańskiej z wyłączeniem powiatów skwierzyńskiego, międzyrzeckiego i międzychodzkiego, które przypadną Frankfurtowi, ale włącznie z powiatami bydgoskich powiatów gnieźnieńskiego, witkowskiego, mogilnickiego, strzelińskiego, wągrowieckiego i żnińskiego stanowią nową dzielnicę północno, albo zachodnio-śląską, o której pomówię niżej dokładniej.

3) Bydgoskie powiaty: uśćski, czarnkowski, chodzieski, wyrzyski, zachodniopruskie: Wałcz, Złotów, Człuchowa Chojnice, pomorskie: Koźlin, Dramburg, Szczecinek tworzą obwód rejencyi pilskiej Pomorza.

„Tutaj zauważyć należy krótko, że dla ograniczonego w przestrzeni, na wskroś polskiego obwodu poznańskiego, któryby się oddało nie pod rządy naczelnego prezesa, tylko komenderującego jenerała V korpusu wojska, musiałyby pozostać ustawy wyjątkowe.

„Jakkolwiek pod każdym warunkiem jeneralna komendantura V korpusu wojska pozostałaby w Poznaniu, to jednakże mogą tylko, mimo mniej korzystnego położenia, bogate i czysto-niemieckie Zgorzelice zostać stolicą prowincyonalną. Tu musiałby także przenieść Arcybiskup gnieźnieński swoją stolicę! Nadto Zgorzelice miałyby także pewien pociąg dla niemieckich mieszkańców Czech. Przez to w razie Niemcom wrogiego powikłania w Austryi stworzyłoby się niemiecki Kraków, któryby pewnym okręgom cislitawskim mógł się stać piekielnie fatalnym, gdyby przeciwko nam nurtowały i pracowały w skrytości.

„Oprócz terytoryalnych zmian należałoby jeszcze dla stłumienia polonizmu zwrócić uwagę na następujące punkta:

„Do armii pruskiej należy wielu oficerów czynnych, jako też oficerów rezerwy i landwery, którzy pochodząc z fanatycznie polskich rodzin, nie tają wcale swego ducha polskiego, przynajmniej po za służbą. Uważam to za błąd, aby tego rodzaju żywioły przyjmować do ciała oficerskiego, lub je znosić w jego łonie.

„Dalej pożądanem byłoby, aby Polakom, prowadzącym propagandę znacznie utrudnić przystęp do karyery państwowej, a umiarkowanych Polaków przyjmować do służby państwowej dopiero po podpisaniu zastrzeżenia, na mocy którego zobowiązaliby się trzymać zdala od jawnej i tajnej agitacyi, w przeciwnym razie mogliby się spodziewać natychmiastowego złożenia z urzędu bez emerytury. Studentów i gimnazyastów, którzy pod względem narodowym dają powód do skarg i są pedejrzani o należenie do tajnych stowarzyszeń, należy niezwłocznie wydalić z uniwersytetów i szkół pod utratą wszystkich praw, uzyskanych przez egzamina i td., np. uprawnienia do jednorocznej służby. Żadnemu Polakowi nie wolno piastować urzędu sołtysa i patrona kościoła, gazet, książek, broszur itp. w języku polskim zakazać należy w obrębie Rzeszy niemieckiej, nabożeństwa i na ıka szkolna mają się odbywać tylko po niemiecku."

Niechaj naszych czytelników nie nudzi to, że prawie w całej rozciągłości przytoczyliśmy jadłospis hakatystycznej kuchni. Urzeczywistnienie tych projektów jest wprawdzie w dalekiej przyszłości, ale nie jest chimerą: widzieć z nich możemy, w którą to stronę dąży kurs polityki pruskiej. Administracyjny podział Księstwa, zaprowadzenie dyktatury, skasowanie pism i książek polskich — to wszystko jedno po drugiem nastąpić musi z matematyczną pewnością, — o ile przedtem system germanizacyjny nie zwichnie karku. Swobody konstytucyjne sprzeczne są z duchem ucisku narodowego: a jeśli państwo z drogi ucisku narodowego zejść nie chce, to tylko czas krótki może tolerować pozory konstytucyjne, aż wreszcie i tych się pozbyć musi, a sięgnąć po brutalną broń przemocy — dyktaturę. Niechaj nas to nie przeraża. Powtarzamy tutaj jedynie to, cośmy już niejednokrotnie napisali: starajmy się tylko mieć dość sił do zachowania narodowości w stanie nieskalanym i czekajmy — a rozwój historyczny sam przełamie butę polakożerczą.

Wszak już teraz widzimy oznaki tej zbliżającej się dyktatury. Cóż znaczy rozwiązywanie wieców? Gdzie wolność

stowarzyszenia się? Dlaczego towarzystwa nasze (nawet pszczelarzy!!) uchodzą za polityczne? Co znaczą konfiskaty pism? Aresztowania redaktorów przed rozprawą sądową? Przesiedlanie jednych urzędników w głąb Niemiec, a wydalania ze służby drugich (p. Synoracki z Kcyni)? A niedopuszczanie abituryentów do egzaminu? Odbieranie polskich książek i listów żołnierzom? Odczytywanie prywatnych listów przez ministrów? Czy to nie przedsmak dyktatury. A jeśli rezerwista Polak na kontrolnem zebraniu mówi „*Jestem!*“ zamiast „*Hier*“ — i za to pakują go do więzienia, to nie jest że to przedsmak dyktatury? To jednak nas niech z drogi spokojnej i rozważnej obrony interesów narodowych nie sprowadza. Dopóki jesteśmy faktycznie stroną napastowaną i bronimy praw swoich, dopóty te rozporządzenia tylko umacniają naszą siłę zamiast ją osłabiać. Pięknie pisze o tem „**Kuryer Poznański**:“

„Umundurowani i nieumundurowani patryoci pruscy“ są najlepszymi wychowawcami naszej młodzieży w duchu narodowym, jakich sobie wymarzyć możemy. Generacya naszych dzieci, wychowana przez niemieckie katechizmy i banicye tego, co nam drogie z naszych gimnazyów, nauczy się patrzeć na Prusaków trzeźwo i jasno. Nas już wychował Bismarck i Kulfurkampf, banicya i kolonizacya, i my dziś wiemy, czego się spodziewać mamy, wiemy co nas czeka, jeżeli nie wytężymy całej energii życiowej. Dzieci nasze wiedzieć to będą jeszcze lepiej, dzieci nasze już dziś zaprawne i zahartowane są temi próbami, które nas po części w dojrzalszym wieku spotkały. I jak Niemcy dotychczas wychowali nam wielki, wspaniały ruch pracy nad sobą, pracy spokojnej, a przez to niezwyciężonej, od Odry i Nissy, aż po morze Bałtyckie, tak wychowają dziś młodzież. Ale, aby ci Polacy nie zarzucali ojcom swoim zaniechania obowiązków, więc brońmy się, ile możemy, protestami, interpelacyami, a nadewszystko gorącą akcyą, samopomocy indywidualnej i zbiorowej przeciw Niemcom.“

Podzielamy najzupełniej zapatrywanie przytoczonego pisma i z przyjemnością stwierdzamy, że od czasu nowej redakcyi w „Kuryerze Poznańskim,“ mianowicie w zapatrywaniach jego na stosunek nasz do Prus powiał żywy, krytyczny duch, odpowiadający potrzebom chwili i oparty na trafnem rozpoznaniu położenia. Cieszy nas, że „Kuryer“ konsekwentnie zastosowuje do spraw bieżących wypowiedzianą powyżej zasadę, iż system germanizacyjny tylko do wzmocnienia ducha polskiego przyczynić się może. W zbliżającą się erę praw wyjątkowych wejść powinniśmy silni solidarnością zapatrywań i przekonaniem, że wygrana naszej sprawy tylko od nas samych zależy, bo wrogowie nasi robią wszystko co mogą, aby sobie samym zaszkodzić.

W najpoczytniejszem z amerykańskich pism polskich, w „**Kuryerze Polskim**“ znaleźliśmy z okazyi naszych procesów i konfiskat długi artykuł, którego cząstkę tylko powtarzamy, aby czytelnicy nasi wiedzieli, że między nami, a naszymi braćmi za morzem zadzierzgnięty jest węzeł serdecznej przyjaźni. „**Kuryer**“ pisze:

„Słusznie żali się „Praca“ że droga jej ciernista, nieusłana kwiatami — jak każda droga obowiązku, ale to ją na niej stanowczo powstrzymywać nie powinno.

„Iść dalej naprzód z podniesionem czołem — do prawdy!

„Na „Pracę“ dziś zwróciły się oczy nie tylko Polaków z pod pruskiego zaboru — i my tu z za morza śledzimy ten wydobywający się przez jej łamy krzyk duszy narodu. Wszystko, co spotyka pismo to serdeczne, poczytujemy za krzywdę narodu — każdy cios pruski, jaki w nią uderza, uważamy za dowód skuteczności jej usiłowań w podniesieniu ducha narodowego.

„Cieszy nas przytem i to materyalne poparcie, z jakiem spotyka się „Praca“ ze strony polskiego ogółu. Jest to dla nas dowód, że nie tylko ona — jako pismo — ale i wszyscy jej czytelnicy — to Polacy serdeczni, jest to dla nas dowód, że mocniejsza w nich miłość, niż w Prusakach nienawiść.

„*Cześć za to jej czytelnikom!*

„Tak wołają wszyscy, którzy tu za morzem „Pracę“ czytają — i jakby na to przyszło, gdyby tego była potrzeba, to pomimo tego, że mamy swoje potrzeby pilne i ztąd, z za morza, posypią się pieniądze, aby „Pracę“ jako ważną narodową redutę polską podtrzymać.“

B. M.

Głosy od Przyjaciół.

Z Górnego Śląska.

Dnia 23 kwietnia 1901 odbył się w Opolu na Śląsku ślub p. Bronisława Koraszewskiego, redaktora „Gazety Opol.“ z panną Franciszką Czokówną, Górnoślązaczką.

Ponieważ pan Br. Koraszewski jest powszechnie znany z jednej strony, jako jeden z najdzielniejszych szermierzy dla sprawy narodowej — a z drugiej również w dość obszernych kołach społeczeństwa jako człowiek pełen niezwykłych prawie zalet serca i duszy, pełen uprzejmości, popularności, wielkiej i niezrównanej sympatyi, jaką jedna sobie wszystkie stany i wszystkich ludzi, zamieniając ich w krótkim czasie na serdecznych swych zwolenników — przeto sądzę, iż nie będzie od rzeczy, a miłem dla każdego przyjaznego mu serca, usłyszeć cośkolwiek o przebiegu najważniejszego dnia Jego życia i uroczystych, wzruszających chwilach.

Z rana o godzinie 6-tej odbyła się Msza św. w kościele parafialnym na intencyą nowożeńców, w czasie której przystąpili do św. Sakramentów. Po obiedzie o godz. wpół do 5-ej wyruszył orszak weselny z domu panny młodej do kościoła — i staropolskim, czysto według obrządków religijnych ułożonym zwyczajem — do ołtarza prowadzili druhowie-bracia pana młodego, jego oblubienicę — jego zaś druhny — siostra Jego i Jej. Orszak ten nader uroczyście, wspaniale i poważnie postępujący zwolna przez całą długość kościoła, poprzedzały dwa małe dziewczątka, siostrzeniczki p. Koraszewskiego, całe niebiesko ubrane z pełnym koszyczkiem kwiatów, rzucając przed stopy „państwu młodym“ na drogę życia“ takowe. Za nimi, po oblubieńcach, kroczył cały zastęp panów i pań, przyjaciół i znajomych — począwszy od rodziców — a wszyscy z przepełnionem sercem życzliwością i przyjaźnią. Obrządku ślubnego dokonał ks. kurator Rzepka i przejęty również uroczystością chwili, wygłosił krótką, ale piękną, dziwnie w serce słuchaczy wnikającą mowę do klęczących oblubieńców, zaznaczając, że chyba nie odmówi Bóg błogosławieństwa tym, którzy nie odstępując żadnych zasad religii, przedewszystkiem *Jego* zasięgli przewodnictwa i z *Nim* zaczęli. Poczem złączeni już razem małżonkowie wrócili od ołtarza, tym samym wolnym, uroczystym nader, całą obcą publiczność nawet ogólnie wzruszającym pochodem i udali się na gody weselne do domu rodziców panny młodej. Tu, przy pięknie, wspaniale i suto zastawionych i udekorowanych stołach zasiadło całe grono weselników, a na czele państwo młodzi, obrzuceni poprostu wspaniałemi, bogatemi darami z bliższych i dalszych stron, które wieńczyły, że tak powiem, treścią, przyjazną pamięcią i serdecznem nawet z za morza współuczestnictwem, przybyłe w ilości ***przeszło 300*** depesze i telegramy.

Zapał był ogólny, wesołość nieskończona, jakby na dzień ten pogrzebano gwałtem wszystko, co boli! A chciano uczcić i otoczyć humorem i miłością Tego, co miał swe gody i odtąd we dwoje z zacną swą i również skorą do poświęcenia małżonką chce iść dalej przez pole nie sławy i pochwał, lecz trudu i zupełnego zaparcia się siebie.

Trudno tu już wymieniać wszystkie oracye, nie chcąc zbytecznie przedłużać naszej korespondencyi, — to tylko dodać wypada, że były reprezentowane wszystkie stany, bo i kapłani byli uczestnikami wesela. — Senior duchowieństwa śląskiego ksiądz Fryszt, z Chroś, najpierwszy wzniósł zdrowie państwa młodych — następnie matki redaktora i rodziców Jego żony — przyczem w rozrzewniających wyrazach wspomniał o ś. p. zmarłym ojcu pana Korasz., którego duch błogosławiący Ich niewątpliwie unosi się nad Nimi w chwili tak uroczystej, a tak pięknie i po Bożemu rozpoczętej i prowadzonej! Dalej przemawiali z kolei goście — między innymi jeden z młodszych księży i pan aptekarz Niziński z Koronowa pod Bydgoszczą, serdeczny druh i zacny przyjaciel pana Koraszewskiego, którego wraz z żoną od przybycia nie odstraszała odległość położenia, by w szczerych, pięknych, potoczystych słowach wyrazić serdeczną swą przyjaźń dla p. Koraszewskiego i sympatyę dla Jego wybranej. Ogólną wesołość przeplatały bez ustanku mowy braci pana młodego — znajomych, a wreszcie przedstawiciela górnośląskiego ludu w osobie pana Kani, który wraz z żoną przybył na wesele i wesołością humoru, śpiewem, dowcipem, a przedewszystkiem nieskończoną ilością własnego układu wierszyków na cześć nowożeńców pobudzał do śmiechu i zabawy wszystkich. Pośród nawału dowodów przyjaźni i miłości — czuł się nowożeniec wbrew zwyczajowi w obowiązku zabrania głosu podziękowania i w przemówieniu swem krótkiem,

lecz ślicznem zwrócił się z takiem mniej, więcej zakończeniem do ludu:

Ludu mój ukochany, dzięki Ci za Twe serce, dzięki za Twą wiarę i ufność położoną we mnie, którą ja szanuję i oceniam. Ludu mój ukochany! Idź dalej ze mną ręka w rękę na tej raz rozpoczętej niwie — pracuj ze mną, cierp ze mną, wesel się ze mną, bo i ja cały duchem z Wami zespolony. Ja Was nigdy nie zdradzę! Ja Wam bratem, ja z Wami! Ufajcie mi nadal!

Następnie w miejsce przemowy zaśpiewała młoda pani piękną górnoślązką pieśń, tchnącą miłością do potrzeb ludu — jego sprawy.

Nareszcie zabrał głos p. Napieralski, redaktor „Katolika“ i w pięknem, treściwem przemówieniu, zaznaczył wyraźnie, iż dotąd wstrzymał się od głosu, póką nie zbadał gruntownie ducha i zapatrywań grona weselników a z nimi narodu, na cześć zatem zespolenia się Wielkopolski ze Ślązkiem, długi, głośny wzniósł okrzyk.

Nie skończono jeszcze długiego sutego obiadu, nie sprzątnięto stołów — gdy roztworzono na roścież drzwi, w których ukazała się deputacya Towarzystwa Opolskiego, znów z pięknym darem na rękach w postaci ozdobnego dywanu i również wzruszającą przemową na ustach, a wszędzie tyle miłości, tyle ufności dla redaktora, dla nich obojga dziś. Nastąpiły tańce, wesołość nieskończona, a przytem porządek i godność do końca. Państwa młodych w nowym domu przyjęła Matka Pana młodego chlebem i solą.

Niech nam żyje droga para
Niech przyświeca Im ta wiara
Co choć w doli, lecz w miłości
Zobopólnie w sercach gości! —

Wielkopolanka zamieszkała na Śląsku.

* * *

Herne, d. 21 4. 91.

Kochana „Praco!“

Zmuszony jestem donieść Ci o ciosie, który dotknął nas Polaków, zamieszkałych w Herne i okolicy. Jest tu bowiem na 8000 Polaków jeden ksiądz, mówiący po polsku, a na tylko cokolwiek większą liczbę Niemców-katolików jest trzech księży. Nabożeństwo dla Polaków składa się z prześpiewania dwóch pieśni, kazania z wystawieniem Najświęt. Sakramentu, po południu raz w miesiącu, a dla wszystkich katolików obu narodowości kościół jest za mały, gdyż w niedzielę, pomimo 4-ech mszy odprawianych, jest zawsze przepełniony.

Dziś właśnie nowy cios nas dotknął, gdyż zapowiedział proboszcz tutejszy, że ksiądz Bitter, który mówi po polsku, ciężko i niebezpiecznie zachorował, więc że żaden ksiądz polski nie przyjedzie, zatem muszą się Polacy zastosować i po niemiecku spowiadać. Jestto cios bardzo wielki, a ważny dla całego społeczeństwa naszego, zwłaszcza tu, gdzie nasz lud kilkotysięczny stoi nad przepaściami, z jednej strony zagrożony przez germanizacyą, a z drugiej przez podstępy socyalistyczne. Jest tu niestety bardzo dużo Polaków, którzy ani o wiarę, ani o narodowość bynajmniej nie dbają, ileż tu rodzin, w których rodzice, zwłaszcza matki, nie umieją po niemiecku, a dzieci ich nie umieją po polsku, chociaż jeszcze do szkoły nie uczęszczają. Któż za nie zaręczy, czy te dzieci Boga chwalić po polsku się nauczą, a może one pacierza nie mówią ani po polsku, ani też po niemiecku, bo kto je ma pacierza nauczyć, kto ma im o Bogu opowiadać? Zdołał by to jedynie tylko naprawić ksiądz Polak, znający nasz lud doskonale i jego błędy i wady.

Co się tyczy zacnego księdza Bittera, to tenże starał się, ile było w jego mocy, zadowolić powierzonych jego pieczy w tej parafii Polaków, to też niezmordowanie najwięcej czasu przepędził w konfesyonale, odwiedzał chorych Polaków, przychodził święcić obrazy itp. Miał on cokolwiek ciężką wymowę nawet po niemiecku, a na jedno ucho nie słyszy, lecz pomimo tego wszystkiego, był przynajmniej tu spowiednik dla naszego ludu, teraz zostaje jak mniemam, jeszcze większa połowa a może co najgorsze nieumiejąca się po niemiecku spowiadać, a tu czas spowiedzi wielkanocnej uchodzi, bo chociaż i niektórzy po niemiecku umieją i nawet płynnie mómią, przekonałem się sam, że spowiadać się, należycie nie można. Byłem raz na początkach u spowiedzi u księdza niemieckiego i odszedłszy od konfesyonału do komunii św. przystąpić nie mogłem, ponieważ rozgrzeszenia nie rozumiałem.

Może ten list mój, dostanie się przez Ciebie, kochana „Praco“, do rąk naszych Wieleb. Duszpasterzy, którzy może owieczki błądzące przybędą pocieszyć. Znam takiego, który co rok przyjeżdżał do Elberfeldu, Kolonii, Düsseldorfu i okolicy, a jest nim Wieleb. ks. Beisert z Ceradza; opuszcza on rok rocznie swą owczarnią, a idzie szukać te owieczki, które giną w niewierze pomiędzy obcymi, może by jemu zostało kilka dni dla nas opuszczonych rodaków tu w Hernie, a znajdzie nagrodę u Najwyższego.

Z pozdrowieniem

gorliwy czytelnik „Pracy“
Ludwik Pohl.

Jak w ubiegłych latach tak i w tym roku zjechali księża Polacy z Poznańskiego z ks. Beisertem do Kolońskiej dyecezyi na spowiedź wielkanocną, a prócz tego na Misyą św. do Wanne. Od 27 kwietnia po południu do 1 maja południa słuchali spowiedzi w Kolonii w kościele św. Andrzeja. W Mülheim nad Renem słuchał jeden z księży w sobotę dnia 27 kwiet. po południu i w niedzielę dnia 28 kwietnia. W tym samym czasie słuchał jeden z księży w Elberfeldzie w kościele św. Wawrzyńca t. j. od 27 kwietnia po południu do 1 maja południa. W Kolonii, Mülheimie i Elberfeldzie było dnia 28 kwietnia po południu nabożeństwo z kazaniem. Od 28 kwietnia po południu do 5 maja będzie 2 księży w Essen, jeden w Oberhausen. Dnia 5 maja w Essen i Oberhausen będzie po południu nabożeństwo z kazaniem. Misya we Wanne od 5 do 12 Maja. (Przyp. Redakcyi.)

O św. Stanisławie.

Wiele upłynęło latek,
Gdy w Krakowie, Polski grodzie,
Wśród pałaców, polskich chatek
Żył wybrany mąż w narodzie.

Łaską nieba był natchniony,
Bo wiódł żywot świątobliwy,
A Biskupem namaszczony,
Był w wyrokach sprawiedliwy.

I jak Mojżesz na pustyni,
Karcił błędy Izraela,
Tak on kapłan wśród świątyni,
Polsce świętych rad udziela.

Słuchają go kmiecie, pany,
Słucha go ludek skruszony,
Słuchają go wszystkie stany —
Pan i sługa jest wzruszony.

Tylko monarchy pysznego
Kapłan nawrócić nie zdoła
I wyklinając grzesznego,
Wzbrania wstępu do kościoła.

A król w pysze zapomina,
Że to mąż u Boga święty,
Że on wskrzesił Piotrowina,
I zemstą pała zawzięty.

I w świątyni bieży progi,
Gdzie kapłan spełnia ofiarę,
I w piersi jego miecz wrogi
Wtłacza, jako zemsty karę.

Ale rozsiekane ciało
Trzy dni przez orły strzeżone,
Cudem całością się stało,
Zanim było pogrzebione.

O! święty Polski Patronie,
Błagamy głosy wspólnemi,
Niechaj Twe przeczyste dłonie
Błogosławią naszej ziemi!

Broń nas od wszelkiego złego,
Ukróć cierpienia zbyt srogie,
Pod ochroną skrzydła Twego,
Niech zmarnieją sidła wrogie!

Poznań. Urszula z nad Warty.

Album współczesnych pisarzy polskich.

Zebrał i objaśnił Stefan Demby.

(Ciąg dalszy).

Aleksander Brückner.

Urodził się dnia 29 stycznia 1856 r. w Tarnopolu, w Galicyi. Nauki początkowe, średnie i wyższe pobierał we Lwowie, gdzie w r. 1875 ukończył uniwersytet. W roku następnym doktoryzował się w Wiedniu, a od r. 1876 do 1878 przebywał w Lipsku, Berlinie i Wiedniu, studjując języki słowiańskie i li-

tewski. Od r. 1878 do 1880 był docentem gramatyki języków słowiańskich w Wiedniu i Lwowie, a w r. 1880 powołany został na profesora nadzwyczajnego języków i literatur słowiańskich w uniwersytecie berlińskim. Od r. 1892 jest profesorem zwyczajnym. W. r. 1888 Akademia umiejętności w Krakowie obrała go członkiem korespondentem, a w r. 1891 członkiem czynnym. Pierwszą wy-



Aleksander Brückner.

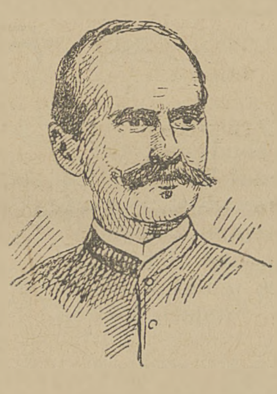
bitną pracą jego było studyum p. t. „Die slavischen Fremdwörter im Litauischen“ (1877); oprócz niej ogłosił drukiem: „Zur Lehre von den sprachlichen Neubildungen im Litauischen“ (1878); „Die slavischen Ansiedelungen in der Altmark und im Magdeburgischen“ (1879); Cały szereg prac naukowych w „Archiv. für slavische Philologie“ od r. 1878 do chwili obecnej, w „Pracach filologicznych,“ w „Archiwum Jagića;“ „Źródła do dziejów literatury i oświaty polskiej“ (1891—1900); „Średniowieczna poezya łacińska w Polsce“ (1892); „Z przeszłości gwar polskich“ (1892); „Mitologia, jej dzieje, metoda i wyniki“ (1893) i wiele innych. Jest również współpracownikiem „Ateneum“, „Kwartalnika historycznego“ i innych pism.



Ks. Antoni Brykczyński.

Urodził się dnia 23 maja 1843 r. we wsi Ossie, w Opoczyńskiem, z ojca Stanisława i matki Wandy z Zamoyskich. Nauki początkowe pobierał w Białej, a następnie przeszedł do gimnazyum realnego w Warszawie, które ukończył w r. 1860. Wkrótce wstąpił do seminaryum w Kielcach, a po latach trzech wysłany został do akademii duchownej w Warszawie. W r. 1867 po zniesieniu tej instytucyi naukowej przeszedł do akademii petersburskiej, gdzie otrzymał stopień naukowy kandydata teologii. Od r. 1868 do 1880 był profesorem seminaryum w Płocku gdzie wykładał język i literaturę polską, historyą powszechną, kościelną i teologią dogmatyczną. Jednocześnie był współpracownikiem „Korespondenta Płockiego,“ „Przeglądu Katolickiego,“ a następnie „Słowa,“ „Biesiady literackiej“ i „Kroniki rodzinnej.“

Z szeregu licznych prac jego na wyróżnienie zasługują: „Gawędy ogrodnicze;“ „Legendy, czyli pobożne podania;“ „O wzajemnych obowiązkach panów i sług;“ „Chorych nawiedzać;“ „Dom Boży;“ „Ikonografia chrześciańska;“ Kilka słów o polichromii kościołów;“ „O ołtarzu Wita Stwosza w Krakowie;“ „O drzwiach katedry gnieźnieńskiej;“ „Listy z Włoch o sztuce kościelnej“ i inne. Większość prac swoich wydał pod pseudonimem Gwiaździca.



Zygmunt Celichowski.

Urodził się dnia 12 sierpnia 1845 r. we Wronkach, w W. Ks. Poznańskiem, z ojca Antoniego, znanego pedagoga i matki Emilii z Jezierskich. Nauki początkowe i średnie pobierał w gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu, zkąd przeszedł do uniwersytetu wrocławskiego, a następnie berlińskiego. W uniwersytecie lipskim otrzymał stopień doktora filozofii po obronie rozprawy p. t. „De fontibus, qui ad abdicationem Joannis Casimiri et electionem Michaelis Wiśniowiecii pertinent 1668—1669. W r. 1869 został bibliotekarzem hr. Działyńskich w Kórniku, a w końcu 1875 pełnomocnikiem hr. J. Działyńskiego, dziedzica majętności kórnickiej, obydwa te stanowiska zajmuje dotychczas. Od roku 1868 umieszczał w „Gazecie Toruńskiej“ liczne recenzye i referaty. Pierwszą recenzyą była krytyka dzieła d-ra W. Kętrzyńskiego „Die Lygier.“ W roku 1877 zamieścił w „Tygodniu“ „Przyczynek do życiorysu Pawła Piaseckiego. Następnie drukiem ogłosił: „Ustawy prawa polskiego;“ „Korespondencya Joachima Lelewela z Tytusem hr. Działyńskim;“ „Kilka uwag nad podniesieniem przemysłu naszego;“ „O działach majątkowych z tekstem i objaśnieniami ślązkiej ordynacyi ziemskiej;“ „Kawiarnie ludowe;“ „W sprawie oświaty ludowej;“ „Przyczynek do życiorysu Marcina Kwiatkowskiego z Różyc;“ „Kilka uwag nad regulaminem wyborczym w W. Ks. Poznańskiem;“ „Znaczenie i rozwój przemysłu domowego i handlu ludowego“ i wiele innych. Oprócz prac powyższych ogłosił cały szereg materyałów historycznych bardzo cennych i rzadkich zabytków piśmiennictwa polskiego. W r. 1875 wydawał pisemko peryodyczne p. t. „Kórniczanin“, a od roku 1891 do 1896 miesięcznik p. t. „Pobudka do szerzenia wstrzemięźliwości.

W roku 1898 ogłosił drukiem dzieło



Podatek dochodowy w Prusach.

Mikołaja Reja p. t. „Kupiec t. j. kształt a podobieństwo sądu Bożego ostatecznego.“

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Podatek dochodowy w Prusach.

(Do illustracyi na stronie 479.)

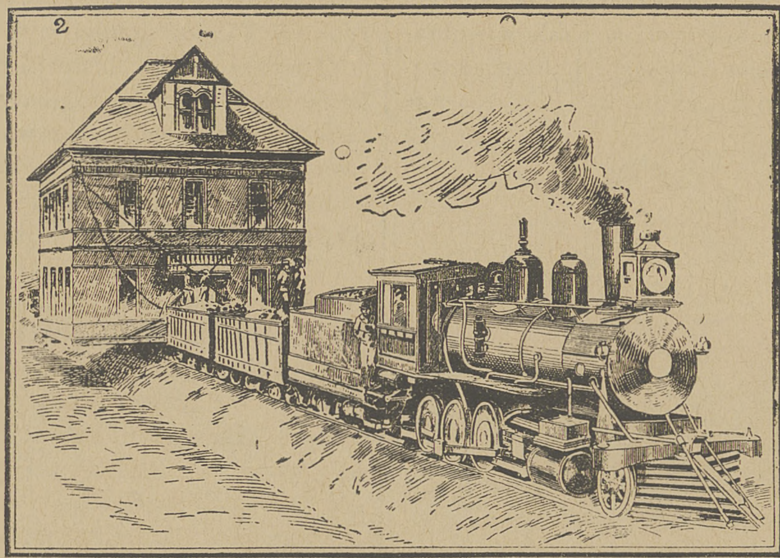
Pierwsza illustracya nasza ocenia najpierw ogólną sumę podatków dochodowych płatnych w Prusach rocznie od dochodów, przewyższających 3,000 marek. Najwięcej podatku ściąga rząd z handlu, przemysłu i górnictwa i to 1418 milionów marek, najmniej wynosi podatek od dochodu gruntowego i kapitału obrotowego gdyż tylko 921 milionów, podczas, gdy kapitaliści płacą 1141 milionów marek. Suma ogólna wynosi 4444 miliony.

Druga illustracya wykazuje podział podatków na poszczególne prowincye. W tym podziale interesują nas przedewszystkiem nasze prowincye. I tak W. Ks. Poznańskie płaci 110 milionów, Prusy Zachodnie płacą 94 mil., Prusy Wschodnie 119 milionów, a Slązk 442 miliony. Razem wziąwszy, płacą te prowincye 765 milionów marek.

Małe, średnie i wielkie worki, zamieszczone na obu illustracych, informują czytelnika dokładnie w podziale podatku na inne prowincye pruskie. *—ski.*

Przewiezienie amerykańskiego gmachu regencyjnego.

Jak wiadomo, Amerykaninowi nie zbywa nigdy na przemyśle nawet nadzwyczajnym, a że w Ameryce powstają nowe miasta, jak grzyby po deszczu, i niejeden właściciel domu woli mieszkać w nowo założonem mieście, aniżeli w swej dawniejszej miejscowości, zatem wynaleziono sposób przewożenia domów z jednej miejscowości do drugiej. Punktem kulminacyjnym w tej industryi jest przewiezienie gmachu regencyjnego z Hemingfort do Alliance w Nebraska, które unaocznia nam zamieszczona illustracya. Niezliczoną ilość żelaznych belek podciągnięto pod dom i związano je mocno ze sobą, następnie za pomocą ciężkich dźwigni żelaznych wsunięto pod nie koła kolejі żelaznej i za pomocą lokomotywy pretransportowano gmach regencyjny na nowe miejsce bez najmniejszego uszkodzenia w 3-ch godzinach. *—ski*



Przewiezienie amerykańskiego gmachu rejencyjnego.

FIJOŁKI.

Niby pierwsze wiosny tchnienie
Na zbudzoną błoń,
Zeszłaś ku mnie, jak marzenie
Tchnąc fijołków woń,
Fijołkami zasypałaś
Sukienkę błękitną —
Drżą fijołki w złotych splotach
I w oczętach kwitną...

Czyż królewską po nad niemi
Władzę Bóg ci dał,
Wieńcząc skronie dyademem,
Złotych słońca strzał?
Gdziebądź zwrócisz swe oczęta,
Wszędzie tak radosno;
Gdziebądź stąpniesz — z pod stóp [twoich
Wszędzie fiołki rosną....

Ponad ziemią zawisł szary
Nieprzejrzany mrok,
W dal zamgloną tyś utkwiła
Rozmarzony wzrok,
I w tem sennem zadumaniu,
Jakby wniebowzięta,
Zatopiłaś w złotej fali
Splotów — swe rączęta...

W nieprzejrzanych mroków łonie
Tonął cały świat,
Kiedyś splotom swym wydarła
Już ostatni kwiat.
I na szczątki poszarpałaś
Drobne fiołków kwiecie —
Jak to nieraz źle i kwiatem
Nawet być na świecie!

Władysław Nawrocki.



Kapelusze sezonowe.

Rocznica 3-go Maja.*)

Rok rocznie zbieramy się w dniu tym, by oddać hołd twórcom wielkiego, wspaniałego dzieła: Konstytucyi 3 maja! I choć rok rocznie zbieramy się po to, to jednak nigdy nam nie zbraknie ni słów, ni ognia w sercu, by wypowiedzieć całą wdzięczność, jaką czujemy dla tych, którzy w chwili największego i najwstrętniejszego upodlenia sfer rządzących naszą Ojczyzną, potrafili ocalić jej honor, potrafili światu pokazać, że Polska nie jest trupem, zawadzającym rozwojowi Europy, nie jest ciałem, które potrzeba koniecznie pogrzebać, wcielić w inne państwa ościenne.

Wszak głośno twierdzono, że Polskę koniecznie rozebrać trzeba, gdyż jest ona już trupem zupełnym. I kto wie, czy świat nie uwierzyłby temu, gdyby nie Konstytucya 3 maja, gdyby nie ta chwila, w której Polska stanęła nie tylko na równi, ale nawet wyżej niż inne narody. Dzięki więc sejmowi czteroletniemu, którego wytworem była ta konstytucya, rozbiór Polski stał się bezprawiem.

Konstytucya 3 Maja dała dowód, że Polska jest żywym, pełnym sił narodem.

Upadek Polski zaczyna się od chwili, gdy po śmierci Zygmunta Augusta ostatniego z potomków króla Władysława Jagiełły, tron polski przestał być dziedzicznym, a stał się obieralnym. Magnaci polscy pochwycili całą władzę w swoje ręce, a raczej każdy z nich rządził w swych dobrach na swoją rękę, nic a nic nie dbając o dobro Ojczyzny, król zaś przez nich obrany był poprostu niewolnikiem bez żadnej władzy. Doszło do tego, że gdy potrzeba było kilku tysięcy żołnierzy na obronę granic Polski, to królowie żebrać musieli u szlachty o pomoc. Ma się rozumieć, że taki stan rzeczy popychał naszą Ojczyznę do zguby niechybnej. Niesłychane zbytki, uciemiężanie ludu, pogarda nauki, zupełna obojętność na przyszłość kraju; były zwiastunami nieszczęść strasznych. Przewidywali też zły koniec niektórzy, zresztą bardzo nieliczni, ludzie światli. Szczególniej ks. Piotr Skarga, znakomity kaznodzieja, nieraz w kazaniach swych miewanych na dworze króla Zygmunta IIIgo czterysta lat temu, przepowiadał upadek Polski tak dokładnie, jak gdyby czytał w przyszłości, natchniony duchem Bożym. Oto jedna z przepowiedni tego wielkiego kaznodziei:

„Będziecie nietylko bez pana krwi swojej i bez wybierania jego, ale też bez Ojczyzny i królestwa swego, wygnańcy wszędzie nędzni, wzgardzeni, ubodzy włóczęgowie, których popychać nogami będą tam, gdzie was przedtem poważano“. —

„Będziecie nieprzyjaciołom waszym służyli“ .... —

„Lud wszystek stęka chleba szukając. Ołtarzami swymi pogardził Pan Bóg i kościoły poda w ręce nieprzyjacielskie. Dziedzictwa wasze wpadną w ręce cudzoziemców i domy wasze do obcych“ ....

Czy nie sprawdziły się te przepowiednie słowo w słowo?

Czasy, w których tylko kiedy niekiedy jeszcze błyskały promienie świetności, pominiemy milczeniem, przechodząc do chwili, w której zaczynają się zjawiać w Polsce pierwsi wysłannicy myśli poprawy stosunków.

Wygnany z Polski król polski Stanisław Leszczyński, człowiek wielkiego serca i głęboko wykształcony, otrzymał w darze od króla francuzkiego księstwo Lotaryngii. Osiadłszy w Nancy, stolicy tego księstwa, oddał się były król polski pracy umysłowej i polepszeniu dobrobytu swych nowych poddanych. Nie tylko jednak o nich myślał. Serce bowiem jego pozostało w Polsce. On to pierwszy nakreślił plan uwłaszczenia włościan w naszej Ojczyźnie, potępiał gorliwie zwyczaj zrywania sejmów, który tak się zakorzenił w Polsce, że w przeciągu lat 300 z 51 sejmów, 48 zostało zerwanych. Na dworze jego, a także w założonej przez niego szkole wojskowej w Lunewilu, kształciło się wielu Polaków. Pod wpływem postępowych idei swego przewodnika zmieniali oni swe zapatrywania na stan rzeczy w swej Ojczyźnie, zaczęli poznawać, jak bliską jest chwila jej zguby i upadku, wskutek czego powracając do kraju, oni to pierwsi na serjo rozpoczęli krzewić myśl zreformowania rządu w Polsce.

Za przykładem Leszczyńskiego poszli książęta Czartoryjscy. I oni też zasłużyli się pod tym względem krajowi, choć pod wieloma innymi wielce mu zaszkodzili. Obok nich stanął Andrzej Zamojski, najwięcej jednak zasług położył w owym czasie syn ubogiego mieszczanina z Wielkopolski, Stanisław S t a s z y c, który swemi pismami tak rozbudził w umysłach rodaków potrzebę zastanowienia się nad losem Ojczyzny, że nazwać go można słusznie ojcem konstytucyi 3 maja.

W r. 1773 papież Klemens XIV zniósł zakon OO. Jezuitów. Zakon ten posiadał olbrzymie dobra w Polsce, po zniesieniu więc jego, okazała się potrzeba zajęcia się temi dobrami. Dzięki wnioskowi Joachima Chreptowicza, podkanclerzego W. K. L., smutnej pamięci sejm, który odbywał się właśnie podówczas w Grodnie na Litwie, a który zaznaczył się nikczemnem uchwaleniem pierwszego podziału Polski, postanowił, aby dochody z tych dóbr obrócono na szerzenie oświaty. W tym celu wyznaczono komisyę, nazwaną edukacyjną. Prace tej komisyi wydały znakomite rezultaty. Zakładano wszędzie szkoły, wydawano książki, ułożono nowy program nauk w szkołach, który nie miał równego sobie w owych czasach. W przeciągu osiemnastu lat, poprzedzających ogłoszenie konstytucyi, uczyniła komisya edukacyjna dla Polski więcej, niż wysiłki paruset lat poprzednich. Stanisław Konarski, Andrzej Zamojski, Hugo Kołłątaj, Stanisław Małachowski, Ignacy Potocki, nieśmiertelny Staszyc i inni przygotowują umysły i torują drogę reformom. W roku 1788 król zwołuje w Warszawie sejm znany w dziejach naszych pod nazwą wielkiego lub czteroletniego, trwał bowiem całe cztery lata. Jak już silną była wtedy chęć poprawy rządów i poczucie ważności chwili, dowodzi to, że sejm ów zdołano zawiązać w konfederacyę, by uniemożebnić jego zerwanie i przeprowadzać ustawy większością głosów. W łonie sejmu utworzyło się silne stronnictwo patryotyczne, złożone po większej części z młodych ludzi pełnych zapału. Wyróżniali się pomiędzy nimi: Stanisław Potocki, Julian Niemcewicz oraz wspomnieni już: Ignacy Potocki, Stanisław Małachowski i Hugo Kołłątaj. Stronnictwo to postanowiło przeprowadzić zupełną reformę ustaw narodowych. Król stał się żarliwym poplecznikiem sprawy konstytucyi i wiele artykułów jej sam podopełniał i poprawił. Z obawy, by Moskwa i jej poplecznicy nie zechcieli popsuć całej sprawy, zachowywano najgłębszą tajemnicę. Sześćdziesięciu posłów należało do niej a żaden się nie zdradził. Jeszcze dzień przedstawienia w sejmie projektu ustawy nie został ogłoszony, gdy z zagranicy zaczęły nadchodzić coraz uporczywsze wieści o knowaniach Prus, Austryi i Rosyi, patryoci więc postanowili nie zwlekać. Naznaczono dzień piąty maja jako termin, w którym projekt konstytucyi miał być podany sejmowi. Na parę dni przed nadejściem powyższego terminu, król uznał za stosowne powierzyć tajemnicę trzem swym powiernikom, a mianowicie kanclerzowi Jackowi Małachowskiemu, marszałkowi Mniszkowi i podkanclerzemu Chreptowiczowi. Dwaj ostatni dotrzymali danego królowi słowa, przynajmniej pozornie. Pierwszy jednak zawiadomił natychmiast stronników moskiewskich o gotującej się uchwale. Zebrała się rada złożona z biskupów: Kossakowskiego i Massalskiego, hetmana Branickiego i kanclerza Jacka Małachowskiego. Niegodziwcy ci postanowili choćby gwałtem cały projekt obalić. Porozsyłali więc na wszystkie strony kuryerów, za-

*) Powyższy artykuł nadaje się jako odczyt dla Towarzystw polskich, obchodzących uroczyście tę wzniosłą rocznicę.

praszając do Warszawy na dzień 5 maja popleczników swych i całą zgraję najwięcej znanych rębaczy sejmikowych Porozpuszczali po mieście służbę, „trąby swe“, jak mówi Kołłątaj, podburzając lud do gwałtu, grożąc królowi i posłom patryotom, lecz knowania ich odniosły w mieście wręcz przeciwny skutek, lud bowiem zaczął się burzyć na Moskwę. Król zaś pragnąc zniweczyć ich zamiary i nie dopuścić zamięszania, przyspieszył termin ogłoszenia konstytucyi, oznaczając na to dzień trzeci maja. W wigilię dnia tego zebrali się w pałacu Radziwiłłowskim posłowie pod przewodnictwem głównych twórców konstytucyi: Ignacego Potockiego, Stanisława Małachowskiego i Hugona Kołłątaja, dla głośnego odczytania takowej, nie czyniąc już żadnej z tego tajemnicy, zjawili się też i partyzanci Moskwy, za nimi zaś mnóstwo ludu nie należącego do sejmu. Po przeczytaniu ustaw jednomyślny okrzyk: zgoda, zgoda! tak zbił z tropu moskiewskich popleczników, iż żaden odezwać się nie ośmielił. Porozchodzono się do domów, lecz inicyatorzy projektu raz jeszcze zeszli się i za przykładem biskupa Krasińskiego, zaszczytnie już znanego z czasów konfederacyi Barskiej, stwierdzili podpisami swymi akt gremialnego głosowania za konstytucyą.

Nadszedł nareszcie dzień stanowczy, dzień wiekopomny — Trzeci maj 1791 roku.

Od wczesnego ranka tłumy zaległy salę sejmową, a gdy się w niej pomieścić nie mogły, — krużganki, korytarze i podwórza zamkowe.

Posiedzenie rozpoczęto o godzinie 11-ej rano. Wchodzącego króla powitali wszyscy głośnymi okrzykami, głębokie zaś milczenie zapanowało, gdy marszałek sejmowy zagaił sesyę. Żądał, by przedewszystkiem deputacya spraw zagranicznych przeczytała wiadomości polityczne otrzymane od posłów Polski za granicą. Sprzeciwili się temu wielkim tumultem partyzanci Moskwy, wiedząc, iż na jaw wyjdą niecne knowania ościennych mocarstw. Nie pomogły jednak te protesty, nie pomogły szalone napady posła kaliskiego Suchorzewskiego — odczytano sprawozdania i wszyscy ujrzeli niechybną zgubę Ojczyzny. Powstał wtedy marszałek Potocki i, zwróciwszy się do króla, prosił by wobec tak smutnego stanu Polski podał środki jej zbawienia. Natychmiast przychylił się król do tego żądania i dodał, że ma w tej mierze przygotowany projekt, ponieważ zaś chodzi w nim także o sukcesyę tronu, pragnie przeto zgodzenia się wszystkich stanów. Z wielkiemi oznakami radości przyjęto słowa królewskie.

Przystąpiono do głosowania. Marszałek sejmowy zaproponował, by przeciwni projektowi odezwali się z opozycyą, stronnicy zaś jego milczeli. Był to dobry środek dla okazania, iż strona tak burzliwa, przeciwna — zaledwie kilku posłów liczy, zrozumieli oni to dobrze i żaden się nie odezwał. Korzystając z tego milczenia, poseł inflancki Zabiełło zaklinał stany, by przyjęły konstytucyę jednogłcśnie i prosił króla, by pierwszy przysiągł na nią. Po słowach tych cała izba ruszyła się ku tronowi. Król stojąc na krześle tronowem wezwał biskupa Turskiego do czytania mu roty przysięgi. Skończywszy ją wyrzekł: „Przysiągłem Bogu i żałować tego nie będę, proszę kto kocha Ojczyznę, niech idzie za mną do kościoła tę samą wykonać przysięgę, poczem ruszył przodem otoczony senatem i posłami, a tłumy całe towarzyszyły temu pochodowi. Dzień był na schyłku, gdy w poważnym, farnym kościele król, stany i lud razem złączeni jedną myślą, upojeni nadzieją polepszenia losu Ojczyzny, przysięgali przy odgłosie dzwonów i strzałów armatnich na dotrzymanie nowych ustaw a gdy, wróciwszy do sali sejmowej, król zasiadł na swem krześle, uśmiech szczęścia widniał na wszystkich twarzach. Niestety, krótkie to szczęście było, fakt jednak został spełnionym i uczynił dzień ten dla nas nieśmiertelnym.

Konstytucya 3 maja składa się z jedenastu artykułów tak rozumnie ułożonych i pojętych, że podziw wzbudzają.

Punkta główne zasadniczo zmieniające postać rządu, były następujące:

1) Zniesienie wyboru królów przez ustanowienie dziedzictwa tronu.

2) Nadanie przywilejów mieszczaństwu i samorządu miastom.

3) Oddanie włościan pod opiekę rządu.

4) Ustanowienie armii stałej.

5) Zniesienie liberum veto i konfederacyi.

6) Zniesienie starostw.

7) Uznanie wolnym każdego, kto wstąpił na ziemię polską z zagranicy.

8) Oznaczenie terminu (dwadzieścia pięć lat) po którym konstytucya może ulegać rewizyi i zmianie artykułów zgodnie z postępem czasu.

Konstytucya ta przyjętą została z uwielbieniem nie tylko w kraju. Cała Europa patrzała z podziwem na ten wytwór myśli polskiej. Najsławniejsi uczeni owego czasu uznali ją jako rzecz skończoną i wzór do naśladowania.

I rzeczywiście, dzieło to było tak mądrze obmyślonem, iż pozwoliło narodowi rozwijać się zgodnie z postępem czasu bez przewrotów i rewolucyi wewnętrznych. Wzmocnienie patryotyzmu, zgoda pomiędzy szlachtą i mieszczaństwem, porządne prowadzenie rozpraw sejmikowych, ustanie pieniactwa, wzrost handlu i przemysłu, dobrobyt ludu, osłabienie arystokracyi — oto zaledwie wiązka dobrodziejstw, jakiemi konstytucya 3-go maja obdarzyła Polskę.

Żywotność tych ustaw oraz ich mądrość są tak wielkie, że pomimo upadku Polski przetrwały, stały się podstawą rządów Księstwa Warszawskiego, Królestwa Kongresowego i po dziś dzień działają na nas. Wielkość ich wzmocniła w nas miłość Ojczyzny, wielkość ich każe nam działać zawsze i wszędzie, w tym samym duchu, o ile zmienione nasze warunki bytu na to zezwalają.

One każą nam zapomnieć o kastowości, budować zamiary nasze na tej opoce, ktora siłą swą tytaniczną przeciwdziała systemom nam wrogim.. Opoką tą jest — lud.

Pracujmy więc w tym duchu, nie wątpmy, łączmy się w stowarzyszenia, zawiązujmy stosunki pomiędzy sobą, nie opuszczajmy rąk ani na chwilę. Wierzmy w świętość i powodzenie sprawy naszej, powtarzając wiekopomne słowa Staszyca, iż:

„Upaść może naród wielki, zniszczeć tylko nikczemny!“

Stefan Barszczewski.

Na pamiątkę 3-go maja 1791.

Boże! ludzie Twoi przyszli
Dziękować Ci w Twojej ziemi
Że z dawnych nierządów wyszli
Łaską Twoją podźwignieni!
Sąsiad stanął zadziwiony:
„Tenże to naród zgubiony?“
Zdziwiło to ziemię całą,
Jak się kraj nasz chwały dobił.
Bo nie wiedzą, co się stało,
Że Bóg sam to wszystko robił!
Boże, wiedzieliśmy sami,
Że ty byłeś między nami!
On to w nasze niepogody
Zbierał serca na swe łono,
I natchnął je duchem zgody,
I dał stałość niezwalczoną...
Tak..... Sam pełniąc dzieło całe,
Jeszcze nam ztąd zjednał chwałę.
Teraz jego wyzwoleńce
Niedawno prześladowani,
Chodźmy włożywszy wieńce,
Szatą łask pańskich odziani!
Narody miejsce zrobiły,
Gdzie stanie lud Bogu miły.
Za to wszystko, kraju stany,
Niesiemy Ci Boże dzięki,
Że każdy z nas ratowany,
Mocą dzielnej Twojej ręki;
I dzień ten Pańskiej opieki,
Święcić będziemy na wieki.

R. 1791. *Fr. Karpiński.*

RODZINA-DOM.

Jadwiga z Z. S.

(Ciąg dalszy.

Szkoła zaś częstokroć robi bardzo mało w tym kierunku. Albo z tego powodu, iż także nie ma w sobie ducha wzniosłego, iż jest tylko kuźnią, w której od tej do tej godziny praca rzemieślnicza się wykonuje, albo jest tak obarczona nawałem prac naukowych, iż w nich tonie i — mimo chęci, na wychowanie mało może zwracać uwagi.

Może ktoś powiedzieć, iż wiedza sama przez się ducha podnosi.

Rzecz to nader względna.

Z wiedzą nie można iść na ślepo.

Potężna to siła — zapewne i tworzy cuda, ale — gdy pada na niwę dobrze przysposobioną i zasadami oszańcowaną.

Lecz gdy wiedza przychodzi na rolę nie dostatecznie obrobioną, sprowadzić może klęski gorsze od gradobicia i zniszczenia nadziei, albowiem ona tylko rozum garnie dla siebie, a serce łamie — depce — gasi...

Wszak znane każdemu słowa Odyńca:

— Nigdzie tak łatwo jak w ludzkim rozumie,
— Anioł w szatana przedzierzgnąć się umie.

Bo przecież rozum — to jeszcze nie zacność — rozum to jeszcze nie cnota — rozum to jeszcze nie charakter.

Iluż mamy ludzi uczonych, bardzo mądrych, którzy przecie jako ludzie są na najniższym stopniu człowieczeństwa? Iluż to sławnych z wiedzy, których wartość moralna jest o wiele niżej zera?...

Iluż jest wielkich, którzy przecie są najmniejszymi?

Legouve, woła:

— W istocie, jeśli nam dziś czego brak, to przedewszystkiem wzniosłości duszy!

A Mickiewicz, jako wielki wychowawca narodu powiada:

— Rozumie ludzki! tyś mały przed Panem,
Tyś kropla w Jego wszechmogącej dłoni.
Swiat cię niezmiernym zowie oceanem,
I chce ku niebu wzlecieć na twej toni,
Zdajesz się tykać brzegów widnokręgu,
Daremnie z żaglem nawa leci chyża,
Opływa ziemię, niebios nie dosięga,
Twa fala nigdy, ku niebu nie zbliża...
Tyś — zawsze na ziemi!!

Zawsze na ziemi — zawsze pełen pychy, oparty na tem co widzi — co słyszy — czego może dotknąć — zimny — spokojny — rozum ludzki, ani ducha nie wzbudzi, ani go nie uzacni.

Nigdy też nie można brać za jedno, — wiedzę, a wychowanie. Ani nie można sądzić, iż uświadomienie tylu a tylu jednostek w narodzie, da już i wyrobione zasady, da życie moralne. Zasady i prawa moralne wyrabiają się w wychowaniu, a wychowanie musi brać początek w rodzinnem życiu. Aby tak było — musi rodzina żyć duchem wyższym nad codzienne potrzeby, wygody i pragnienia.

Jak się ten duch rodziny ma objawić? W co przyoblec? czem ma swoje istnienie zaznaczyć?...

Trudno orzec, tak, jak trudno powiedzieć, jak się ma ideał objawić w dziele artysty — natchnienie w piórze poety — cnota — w drodze życia.

Są to rzeczy wzniosłe — wielkie — promienne i dlatego nie dadzą się ująć w ramy — przepisy — wzory.

Ale przedewszystkiem w czem się duch życia rodzinnego może objawić — to w planie życia.

Kto na oślep idzie, ani wiedząc kędy dąży, ani rozumiejąc gdzie ma dojść, ani nie zastanawiając się jak idzie — ten przecież jest człowiekiem bezmyślnym, każdy przyzna.

Są i rodziny takie, które istnieją — żyją — rozwijają się, ale zupełnie nie mają zakreślonego celu przed sobą, ani drogi wytkniętej.

Plan życia!...

Czy da się życie wedle planu kierować?... Ileż to burz w przeciwne strony rzuca nasze marzenia? Ile gromów łamie i niszczy nasze budowle? Ileż to przeszkód staje, aby wszystko prawie inaczej poszło, jak my chcieliśmy?...

Pocóż plan?... Aby była większa gorycz i żal?...

Odpowiedź na takie skargi jedna.

Zakreślić sobie plan życia w znaczeniu duchowem, a tego nie zniszczy burza, nie zniweczą grom i inne przeszkody. Musimy rzucać sobie na drogę przyszłości ogólne zarysy — zasadnicze, od których bezwarunkowo nam nie będzie wolno odstąpić, a wtedy będzie rzecz łatwiejsza do wykonania.

Czyż to dziwne, iż całe szeregi jednostek, a z niemi i rodzin — plączą się, padają, mylą, gdy idą na taki wielki i szeroki gościniec życia, a nie mają zasad — celu — drogowskazu?

Jedni — są jak liście wpółzwiędłe, któremi wiatr rzuca na wsze strony, inni są jak owe wątłe, pnące się rośliny... które do wzniesienia się wyżej chwytają się tego wszystkiego, co obok nich stoi. Czy to spruchniałego dębu, czy jadowitej rośliny — czy wspaniałej kolumny, czy krzyża przydrożnego.

Nie idzie im o to, o co się opierają, byle tylko mieli po czem wznosić się wyżej.

W jednych rodzinach wyznają zasady socyalne, bo te uderzyły o próg ich domu, o ściany chaty, więc wzięto je za tło życia. Co wichrem zostało zawiane, rzucone czyjąś ręką, to wystarczy, aby stało się podporą i celem i planem życia!

W innych domach — ateizm jest główną melodyą, bo to modne, bo to znów przyszło z dzieł czytanych, bo ostatecznie i nie wiedzieć od kogo było podane a ascetyzm szkodzi zdrowiu — psuje nerwy.

Tam — celem istnienia stała się mamona. Więc wytężono siły, aby jak najwięcej grosza zebrać, najmniej wydać, aby mieć kieszenie pełne, kasę ogniotrwałą i listów zastawnych sporą ilość. To celem i planem.

Tysiące wad jednostek — za wadami i rodzin całych.

— Słowacki powiada:

— Każdy ma do picia
Kielich mniej więcej gorzki, a ja się lituję
Nad tym, co się codzienną męką życia truje.

Prawdziwie można się nad tym litować, kto się truje trudem życia, kto jęczy z niecierpliwością pod tym samym ciężarem, który dla innych jest lekkim jak piórko...

Właśnie w tem leży jądro naszego odrodzenia duchowego, naszego podźwignienia się — naszych zasług, abyśmy umieli tchnąć cel życia wyższy i dalszy nad cel osobisty, abyśmy zakreślili koło szersze nad codzienne kieratowe obroty — abyśmy ujęli w istnienie nasze, istnienie ideałów nigdy nie gasnących, a wtedy, wśród rodzin polskich zamieszka duch wyższy i wypełni tę próżnią, jaka dziś srodze nas poniża.

„Ten co się pali sam — żar zapalony ciska na serca drugich.“ *)

Ten, kto napoił swą pierś tchnieniem wyższych dążności — ten drugich podnosi i porywa. Kto ujął w ręce skarb olbrzymi — drugich tym skarbem obdziela.

Ah!... nie dość przyodziać dziatwę, nie dość ją nakarmić, napoić, nie dość dać jej posag, dobra — pozycyę — jej trzeba ducha!...

Lecz my o wszystkiem pamiętamy, o wszystko się troszczycie — tylko nie o to, co najważniejsze. Do was też słowa Mickiewicza zastosować się dadzą:

......Świat ten jest bez duszy —
Żyje, lecz żyje tylko kościotrup nagi;
Który lekarz tajemną sprężyną poruszy,
Albo coś jest na kształt wielkiego zegara,
Który obiega popędem ciężaru...
Tylko nie wiecie, kto zawiesił wagi!
O kołach, o sprężynach rozum was naucza,
Lecz nie widzicie ręki i klucza!
Gdyby z twych oczu ziemskie opadło nakrycie,
Obaczyłbyś niejedno w koło siebie życie
Umarłą bryłę świata pędzące do ruchu...
. . . .

**) „Jak ponad wszystkiemi obowiązkami człowieka, względem ciała, obowiązek zachowania życia stoi najwyżej — tak między obowiązkami względem duszy — *jeden* je ogarnia i nad niemi góruje — to obowiązek szanowania swej *godności moralnej. Podłość — dla duszy jest samobójstwem.*“

***) „Wszyscy żądamy postępu społecznego; jest on ogólną myślą, pociągającą umysły i serca tak pojedyńczych osób jak i ludów — pragnieniem, które będzie kiedyś punktem oceny dla bohaterskich sił, przechowujących się w duchu ludzkim. I cóż! Wszakże nawet trybunowie ludu dziś ogłaszają, że porządek, wolność i dobrobyt wszędzie i zawsze są w prostym stosunku do moralności. Pod ostatnią zaś i oni jak i my rozumieją wstrzemięźliwość, pracę, czystość obyczajów, surowe rodzinne życie i pokładanie szczęścia li tylko w rozkoszach umysłu i serca.“

Jak mamy święty obowiązek strzeżenia naszego życia od zabójstwa, tak musimy strzedz ducha od śmierci moralnej.

Zdaje się, iż bezpotrzebnie to tylekroć powtarzamy. A jednak — musimy bić jak w dzwon sercem — tak w hasło owo ciągle pamięcią dzwonić, byśmy i lepiej je zapisali w duszy i lepiej osnowę dalszych myśli zrozumieli.

Bo i powiedzmy. Cóż by z tego było, gdyby liczba nas — to jest Polaków, pomnożyła się wielekroć — choćby nas było miliony, miliony więcej, a gdyby byliśmy źli — nikczemni — brudni — upadli moralnie!...

Czy sama ilość jednostek w narodzie da moc i siłę i wielkość narodu?...

Wszak tyle mamy na to dowodów, iż narody liczebnie wielkie były nędznie ubogie wobec narodów silnych duchem i cnotą!...

Stary nasz pradziad literatury polskiej, Rej z Nagłowic, choć nieraz szorstko trochę, ale zawsze trafnie do moralności i cnoty nawoływał. On też w swoim żywocie poczciwego człowieka powiada:

„W świecie jest bardzo wiele celów, do których poczciwi ludzie mogą dążyć. Ale najważniejszy cel, jest cnota. Jest to królowa takiej władzy, której wpływu ani śmierć, ani żaden przypadek zniszczyć nie powinien. A nawet wtedy, gdy już życie ustaje i śmierć zdaje się wszystko, co nas ze światem łączyło — przecina — cnota ślady swoje zostawia i w pamięci ludów tych imiona utrwala, którzy pod jej berłem służyli. I cóż?... czybyśmy byli wiedzieli o Piaście, o jego synach? o tylu sławnych w historyi, gdyby ich życie nie zostało utrwalone w pamięci przez cnoty?... Bo patrzmy, taki Plato, Sokrates, Kato i inni, chociaż żadnych wojen nie toczyli i nie walczyli z wrogami, żyją tak samo w pamięci narodów, jak i owi, którzy bili się dzielnie. Oni walkę ustawiczną staczali z ziemi uczynkami i niecnotą. Tak i poczciwy człowiek, jeśli nie ma sposobności bić się o wolność Ojczyzny i walczyć z jej nieprzyjacielem, niechże łamie się a walczy z marnemi niecnotami świata, niech je tępi, niszczy, i zaciera jak może, a niech z siebie piękny przykład daje.“

Zaiste i dla rodzin polskich zasada ta powinna być wytycznym punktem, walczyć z złem może zaś tylko ta rodzina, która złego w swojem życiu nic nie ma.

Zdaje się pozornie i tu i tam, że życie tych rodzin jest dobre, uczciwe, poważne. Formy zewnętrzne są zachowane, znać otarcie i ogładę, nawet odnosi się wrażenie, jakoby życie tu było piękne. A jednak — ileż brudu kryje się częstokroć pod powłoką szyku, inteligencyi i wykształcenia! Ileż to niewierności i nieuczciwości, defraudacyi i zdrady — wyzyskiwania, obmowy, złośliwości, pychy, wzgardy, nienawiści itd. itd.? Czy to wszystko jest moralnością?

Ojciec psuje dzieci najgorszymi przykładami, matka poniewiera najświętsze powinności — synowie zdemoralizowani wcześnie, córki wyśmiewające się z „cnotliwych“ gąsek, i to ma być rodzina świecąca przykładem moralnego życia!...

Krasiński mówi:

— *Brud* zawsze *brudem*
Myj go sofizmami,
Pierz i lat tysiąc
On zawsze *cię plami!*...

Tak i zwykle, niemoralne, codziennie się powtarzające i nie „rażące w oczy“ czyny — choćby nie wiem jak były ubierane i *pięknie nazywane*, zawsze *brudem* zostaną i zawsze kalając jednostki, plamiąc rodziny — będą szkodzić życiu narodowemu i srom ojczyźnie przynosić.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

---

*) Słowacki.

**) Emil Saisset, etyka czyli moralność.

***) Ksiądz Gratry. — Moralność.

ANTYSEMITYZM.

Powieść oryginalna współczesna

przez

Romana Srzeniawitę

dla „Pracy.“

(Ciąg dalszy.)

— Ny! pijaczyna! ty się będziesz wlókł! Co ja mam z tobą iść?... nawet nie skinąwszy głową, przeszedł na drugą stronę ulicy i wszedł do najpierwszego sklepu, byle się pozbyć człowieka, który mu już nie był potrzebny jak wyduszona cytryna.

— Kazik coś tam zamruczał pod nosem i powlókł się do fabryki.

Dokument zawarty w ogromnej urzędowej kopercie zawierał te kilka słów: „Szanowny panie! proszę natychmiast przysłać jaki bądź list przez tegoż Kazika, a w ślady za nim proszę przybyć niezwłocznie do mego biura. Sprawa bardzo ważna, a wedle mego rozumienia tutejszych stosunków groźna dla szanownego pana. — Czekam na Niego i serdecznie pozdrawiam... sługa B. Pieńkowski — notaryusz.“

Gdy Kazik usprawiedliwiał przed Baltazarem swoje nieprzyjście do fabryki opowiadając przedaż swego gruntu i powtórzył bajeczkę o płukarni wełny; gdy Baltazar porównał z jego opowiadaniem treść listu — domyślał się natychmiast, iż to właśnie jest napewno owa groźna sprawa ową łapką zastawioną na niego przez żydów.

Natychmiast więc zrobił wedle żądania — Kazik wrócił do biura notaryusza, który mu kazał czekać na odpowiedź — gdy wtem nadjechał Baltazar.

— Panie rejencie szanowny! co ma znaczyć ten list? — zawołał, wchodząc.

— To mój kochany panie! — odrzekł rejent — że jesteś pan w łapce żydów i trzeba obmyśleć obronę...

Więc począł mu wykładać wszelkie swe domysły, opierając je na znajomości miejscowych stosunków i ziemi.

— To miejsce znam doskonale — mówił — dziś już ludzie zapomnieli, ale ja za moich dziecinnych lat pamiętam doskonale, że ten grunt nazywano „młynarskim“... jeszcze mi pokazywano jeden pniak z węgielnego słupa owego młyna, który tam niegdyś istniał... Gotów jestem przysiądz, że żydzi, chcąc ciebie tu panie zgubić, postawią tam młyn czy jakieś inne licho, byle wodę odciągnąć do parowu, przez to osłabić siłę kanału i osadzić fabrykę na błocie...

Baltazarowi serce krwią opichło. Tyle pracy, tyle zacnych chęci ma naraz runąć przez łotrowskie intrygi... I, gorżką ironią losu, został wydany w ręce żydów przez kogo? przez człowieka, którego on przygarnął, na którego moralność starał się wpłynąć, a który tę straszną krzywdę wyrządził mu w najlepszej chęci...

— Czy nie ma jakiego środka cofnięcia tej sprawy? — spytał Pieńkowskiego. — Czemu ten człowiek nie przyszedł do mnie i nie ofiarował mnie tej sprzedaży?

— Właśnie dlatego żądałem od szanownego pana, żeby i Kazik tu był, rozpytamy się o szczegóły, może coś wynajdziemy...

Zawołano Kazika — wszedł z wesołą miną, uśmiechem powitał Baltazara — on przecie mu taką usługę wyrządził.

— Czy ty wiesz Kazik! coś ty zrobił? — spytał notaryusz.

— A czemużbym nie wiedział — odrzekł wesoło — to tak będzie na rękę panu kapitanowi...

— Słuchajże Kazik! — Żadnego takiego organisty w Nowym Targu nie ma. Żyd cię okłamał, grunt zasię twój dlatego kupił, by tam młyn postawić i przez niego wodę ze stawu puścić do bagniska... a wtedy fabryka waszego pana kapitana musi stanąć, bo nie będzie wody...

Kazik słuchał... na czole nabiegły mu żyły, bladł, czerwieniał, piersią robił jak miechem kowalskim, aż mu już sił zabrakło panować dłużej nad sobą, runął, szlochając do nóg Baltazara.

— Rany boskie! — co ja zrobiłem? — co ja zrobiłem? — wołał i płakał jak dziecko, obejmując kolana Baltazara... Oh! ja nieszczęśliwy! — zawołał znowu, tarzając się po ziemi — podpoił, wyłudził, a ja takie zło naszemu kapitanowi wyrządziłem...

— Więc byłeś pijany, gdyś ten kontrakt podpisał — dopytywał się notaryusz szukając środka do zwalenia aktu sprzedaży.

— Oj tak! panie notaryuszu! oj tak! — ratujcie mię.

— A gdzież pieniądze, któreś za to wziął? bo ci on dał?... pokaż! — wołał notaryusz.

— Ano! dziewięć setek — odrzekł Kazik i podał dwa weksle...

— Notaryusz popatrzył na nie a, widząc, że to razem stanowi dopiero 700 guldenów, zażądał jeszcze jednego wekslu.

— A to już jest rychtyk — odrzekł Kazik — jeden weksel na 500 guldenów, a drugi na 400 to i robi razem 900.

— Ależ człowieku! ten weksel jest tylko wystawiony na 200 guldenów.

Kazik jak dziki zwierz podskoczył z ziemi...

— Ah! żyd rozbójnik! — krzyknął — ja go zabiję! — i chciał runąć ku drzwiom, gdy go notaryusz zatrzymał reflektując:

— Ależ stój! nie zabijaj, a nawet nie bij, bo żyd ma pieniądze, a tyś dziad — sprocesuje ciebie, wsadzi do kozy i tyle wygrasz...

— Oj panie kapitanie! panie notaryuszu! ratujcie! — wołał biedak. — Jak Boga kocham było napisane 400... chyba żyd zaczarował pismo...

— Było napisane 400 powiadasz! — zawołał Pieńkowski — a dajno ten weksel jeszcze raz!

— Notaryusz wyjął lupę i począł przez nią badać cyfrę 2. — Po chwili rzekł:

— Panie Baltazarze! proszę patrzyć na ukos ku światłu i proszę nic nie mówić, co pan obaczy.

— Baltazar po chwili oddał papier, a na twarzy widać było wyraz oburzenia...

— Panie Adolfie! — Notaryusz zwrócił się do swego sekretarza — proszę patrzyć!

— Sekretarz, młody człowiek z wybornym wzrokiem, spojrzawszy uważnie, natychmiast zawołał:

— Panie rejencie! — ten weksel bez zwłoki trzeba oddać prokuratoryi, bo jutro już być może tego dowodu nie będziemy mieli...

— O czem pan mówisz? — zawołał porywczo rejent.

— Proszę patrzyć! — odrzekł sekretarz — ot tu! tu! w załamie główki cyfry 2 została jeszcze kruszyna grafitu... proszę porównać połysk tej części cyfry z resztą pisma!

Rejent i Baltazar po chwili badania przekonali się, iż sekretarz miał słuszność. Nie tylko, to co i oni dostrzegli, znać było na papierze wklęsłości zrobione naciskiem ołówka trochę twardego do takich spraw, ale nadto z chropawej powierzchni atramentu grafit nie był jeszcze dostatecznie starty. Ten ostatni dowód mógł lada chwila zginąć. Spisano więc natychmiast protokół tego, co dojrzano, i wysłano do Padowic, a Kazikowi nakazano milczenie a nawet nie okazywanie tego, że wie o oszustwie.

Kazik pod wieczór przechodził koło propinacyi. Aaron stał w podsieniu i z uśmiechem złośliwym patrzył na zbliżającego się biedaka.

— Nu! głupi Kazik! chcesz wódki? Ale darmo nie dam!

— Kazikowi krew rzuciła się do głowy; nie tylko, że go obdarł jak zbójca w lesie, jeszcze szydzi z niego. Ale przezwyciężył siebie i tylko patrząc z pode łba na żyda, zapytał:

— A cóż tam organista, przyjechał?

— Nu czemu nie! Jak się urodzi, to może przyjedzie.

Kazik nie wytrzymał, podniósł kułak do góry i krzyknął;

— Ah! ty psiawiaro żydzie!

— Ny! głupi Kazik! chcesz sera? głupi na! — i śmiał się szyderczo!

Kazik chciał dalej mówić, ale ukąsił się za język... pan kapitan nie pozwolił... zaklął tylko i poszedł, a za plecyma słyszał śmiech Aarona.

Wieczorem rejent otrzymał telegraf od prokuratoryi w tych słowach: „Wzywam zachować największą tajemnicę w znanej sprawie — list wysłany...“

— Stary rejent zatarł ręce.

— Oho! to tam nie tylko nasza sprawa na kochanym Aaronku leży... No! no! tajemnica będzie! — byleby nas niespodzianka nie minęła — i zaraz odesłał telegram Baltazarowi.

Nazajutrz rano Baltazar przywołał Kazika i pod groźbą więzienia nakazał mu milczenie, zapewniając, iż wszystko pójdzie dobrze i pieniądze mu się wrócą.

W kilka godzin potem nadbiegł list urzędowy z prokuratoryi do notaryusza, w którym było wezwanie: „polecam zachować się tak, jak gdyby wszystko odbyło się najlegalniej, w przeciwnym razie możecie popsuć cały plan, który już od kilku miesięcy prowadzę w innej sprawie.“

List był natychmiast odesłany do Baltazara, wszyscy przycichli tak, jak gdyby nikt o niczem nie wiedział. Nawet Kazik starał się nie przechodzić koło propinacyi.

XVI.

Minęło parę miesięcy. Już Stawa szumiała mętnemi falami stopniałych śniegów, gdzie niegdzie tylko po wirchach gór świeciły mniejsze lub większe białe zbrudzone płachty. Od czasu do czasu przylatywał doliną ciepły a wonny wietrzyk... zaszumiał, zakwilił jak budzące się dziecko. — Wiosna! wiosna! powtarzano w około...

W życiu mieszkańców Kruchy nie zaszło nic nadzwyczajnego.

Zamek stał pustką, bo hrabina zaraz po Nowym roku wyjechała na południe, a w miasteczku ciągnęły się dnie za dniami takież same i takież same; tak jednostajne, że aż zanotowania godną rzeczą był przyjazd prokuratora z Padowic, który, ożeniwszy się w karnawale, przyjechał złożyć wizytę swoim znajomym.

Był u jednego, u drugiego, a pod wieczór na wista przyjechał do Baltazara. — Jeszcze tam kilka osób było zaproszonych, więc nic dziwnego, że pani Zofia przywołała do pomocy Stacha i Kazika.... Prokurator, rejent i Baltazar zasiedli do kart w pokoiku najbliższym kuchni. Że zaś rejent i Baltazar zwykle się sprzeczali przy kartach, więc, by nie robić przykrości grającym w dalszych pokojach, zamknęli drzwi tego pokoju. Nikt w tem nie widział czegoś niezwykłego....

Około 10-tej wieczorem wyszedł z domu Baltazara Kazik, nie był pijany, ale zły i wściekły... Wlókł się ku miasteczku, a ciągle mruczał... Aha! psie żydzie! Aha! — Pocieszy cię moje dobro.... Będziesz miał grunt!... aha!... Ludzie myśleli, że pijany, nikt na te słowa nie zważał....

Partyjka w zamkniętym pokoiku skończyła się prędko i prokurator dość wcześnie odjechał z żoną do domu, widocznie zadowolony ze swojej wizyty.

Żegnając się z Baltazarem i rejentem, jeszcze raz powtórzył:

— Polecam najgoręcej moją prośbę.

— Proszę być pewnym! — rzekł rejent — nie ujdzie naszej uwagi najmniejszy szczegół...

I znowu biegły dnie bez żadnej odmiany... Aż oto gdzieś tam w połowie marca znowu się Krucha trochę ożywiła nie miłym dla wielu rozkazem wyruszenia na czternastodniowe ćwiczenia. — Kilkunastu chłopców z fabryki Bonińskiego poszło pod karabin...

Poszedł też i Walek... zły, że mu kazano odejść zarobku... znowu zalegną dwie wkładki do kasy!... dopędzaj że potem to, czegoś bez twojej woli zaniechał!... Ale w żołnierce najlepsze rozumowanie mniej warte, niż stargana chustka do nosa. Przyszedł rozkaz, poszedł i basta. Zamknęli biedaka w krakowskich koszarach i musiał cierpieć...

W parę dni po odejściu Walka znalazł się w jego chacie żyd agent, ten sam, który przed kilku laty naradził Józce nieboszczce doskonałe miejsce.

Teraz proponował France jeszcze lepsze — bo najpierw, że bliziutko, w Górnym Sączu, cztery godziny drogi od Kruchy, a nadto z doskonałą pensyą — 30 guldenów miesięcznie i życie.

Wprawdzie uprzedził, że służba będzie ciężka, bo to przy pewnej starej schorowanej pani, trzeba będzie i po nocach siadywać... ale czyż to miało straszyć Frankę, dziewczynę silną, jak mur...

— A chociażby tylko kilka miesięcy mogłaś wytrwać — mówiła matka — to przecie zbierzesz sobie porządny grosik i prędzej spłacimy w kasie dług, co cięży na naszym gruncie...

Ugoda więc stanęła i tylko Franka zwlekała, chciała zaczekać na powrót brata. Widząc to agent, oświadczył naraz, że on został wezwany do Krakowa i pojechał. Do tygodnia wrócił i zaczął od tego, że się widział z Walkiem, że on kazał matkę i siostrę pozdrowić, że France bardzo dziękuje za chęć pomocy w spłaceniu długu, i że, wracając ze Stanisławowa, gdzie ich jeszcze na trzy tygodnie wysyłają, będzie jechał przez Górny Sącz to się z nią obaczy... Biedne a ciemne kobiety uwierzyły tej mowie, Franka się zabrała, poszła z żydem, Antek ich na kolej odprowadził i widział, jak pojechali do Sącza...

Gdy Walek i inni chłopcy odeszli do Krakowa, począł się właśnie czas tych pierwszych ciepłych dni wiosennych, które na podgórzu Karpat są niezrównanej piękności. Wszystko się budzi, poczyna się ruszać; ludzie jak pszczoły z ula wysuwają się z domów, idą na przechadzkę bez ciepłych okrywek, jak gdyby nawet myśleć o tem nie chcieli, że to do lata jeszcze daleko, że przyjdą jeszcze zimna, śnieg wróci na pewno, a może też i mrozy zarazem.

Aaron, nabywszy grunt Kazika, opuszczoną jego chałupę wyrestaurował na wcale pokaźny dworek. Nie myślał w nim zamieszkać, lecz chciał z niego korzystać, tworząc z niego stacyę dla swego handlu, który przeważnie szedł nocą...

Kruszanie widzieli, że restaurował, lecz będąc przekonani, iż zamyśla to komuś wynająć, nie robili mu żadnych wstrętów. Wśród szarugi, po błocie nikt wieczorami nie chodził, więc nikt też nie dojrzał czegoś niezwykłego. Teraz jednakże stało się inaczej. Kilku ludzi zauważyło, że czasami w oknach tej chaty, położonej w dali od wielkiego gościńca, bywa przyćmione światło. Poszli więc przekonać się, co te światło ma znaczyć. Jakież zdziwienie ich było, gdy przez wązką szczelinę pod nieoględnie zapuszczoną firanką ujrzeli siedzącego Aarona przy stole, na którym stała butelka i były rozłożone szynka, kiełbasa, szperka, chleb i t. p.

— Nazajutrz w gospodzie „pod zieloną szynką“ w alkierzu zebrało się grono kruskich obywateli na naradę. Dwie ważne sprawy były do załatwienia.

Najpierw określenie, czy grunt Kazika, wysunięty tak daleko poza obręb właściwej Kruchy, należał do kategoryi tych, na których wedle odwiecznej tradycyi Kruszan żaden żyd mieszkać nie miał prawa?... a następnie rozwiązanie zagadki, co miały znaczyć butelki i różne nie żydowskie wiktuały na stole samotnego Aarona?

Chodziły wprawdzie jakieś głuche wieści, że z Aaronem nie była czysta sprawa, że od czasu do czasu widziano o północy wóz a nawet i dwa wozy pokryte budą, stojące pod propinacyą a jednak w szynkowni było ciemno i tylko w alkierzu przeświecało światło z za grubej firanki i słychać było jakiś szmer. Rankiem już wozów tych ani śladu nie było. Powiadano to wprawdzie, ale kto to widział? Raz mówił Kazik, nie dziwota, że mu w oczach świeciło... Drugi raz opowiadał Maciek Kulawy, ten także nie umiał wylewać kieliszka za kołnierz. Mówiła jeszcze stara Antoniowa, ale to przecie znana rzecz, że baby widzą i to, czego nigdy nie bywało.

Ale teraz to inna sprawa. Kilku trzeźwych, porządnych obywateli to widziało. Umyślnie podkradli się i widzieli Aarona, butelkę, kiełbasy... potem światło zgasło... I co to wszystko miało znaczyć?... Nikt tego nie rozumiał. Ten fakt jednakże był pewny, że Aaron ten domek dla siebie zatrzymał, że w nim przesiadywał i nad tem właśnie rozpoczęto dyskusyę przy zamkniętych i pilnie strzeżonych drzwiach.

Wedle tradycyi kruskich, żyd nie miał prawa mieszkać po tej stronie rzeki, a gdy który się odważył lekceważyć to prawo zwyczajowe i osiadł, to wnet krążyło wśród obywateli wojenne hasło: „wypłoszyć żyda“... co też niebawem przychodziło do skutku... Cóż na to władze? władze były bezsilne, bo niemal nigdy i nikogo nie złapano na uczynku a śledztwo było zawsze bez skutku, bo nigdy nikt nikogo nie wydał, wszyscy byli jakoś ślepi i nic nie widzieli. Parę razy udało się wprawdzie złapać winowajcę, ale cóż z tego, że posiedział w kozie? za to obywatele tak mu hojnie zapłacili, że gotów był, choćby i zaraz iść płoszyć drugiego żyda.

W ciągu narady rozbijała się kwestya o to, że chałupa Gorkowa była wysuniętą poza Kruchę niemal na równi z dworcem kolei... a więc czy podlegała prawu banicyi semickiej, czy nie? Zdania się chwiały, aż nareszcie głos siwego Jakóba, ojca Walczewskich przeważył. Był to prawdziwy typ kruskiego

obywatela, przez długie lata wójt, bardzo energiczny — tradycye miasteczka były dla niego świętą rzeczą.

— Otóż moi sąsiedzi i moje dzieci — ozwał się patryacha — ja tę rzecz uważam tak: kolej mamy dopiero od pięciu lat a patrzcie ile tam chałup stanęło a i tu z miasteczka para domów w tę stronę wybiegła. Może Bóg da, że się rozbudujemy od rynku, aż po dworzec — wtedy żyd będzie po środku. — Wiecie co! nie ma o czem radzić! przepłoszmy żyda! — to mu nic nie zaszkodzi — Żyd zostanie żydem, a nas to uspokoi.

— Po starym Jakóbie nikt już głosu w tej sprawie nie podniósł — szło tylko o plan wykonania. W tej sprawie Stach zabrał głos. Gdy wołano na ćwiczenia Stach właśnie tak utłukł lewe ramię, że mu zesiniało zupełnie i blizko dwa tygodnie nawet niem ruszyć nie mógł. Skutkiem tego pozostał w domu a i teraz jeszcze nosił tę rękę na przepasce. Ludzie go pomawiali, że mu ciężko było Hanusię opuścić i dlatego umyślnie zbił sobie ramie, ale to były tylko żarty. Gdyby rzeczywiście udawał, to teraz, gdy radzono o „płoszeniu żyda,“ takby mu ta ręka zaświerzbiała, że napewnoby odrzucił chustkę z wielkiej miłości dla żydów. Próbował wprawdzie, czy może nią ruszać, ale jeszcze nie szło, postanowił więc tylko być doradcą, pomocnikiem i świadkiem...

Nam się doskonale składa — mówił — mamy w Krakowie kilku naszych dzielnych chłopców jak Walek, Szymek, Olek i inni — za parę dni mają wrócić, ale to bywa nieraz, że dzień lub dwa przetrzymają w koszarach... otóż pojadę do Krakowa, umówię się z Walkiem i jeszcze z trzema, co najwięcej, i tak zrobimy. — Oni w nocy przyjadą do Stawiec, tam wysiądą — zejdziemy się przy Gębczyckiej kaplicy a potem przez górę Osień, wyjdziemy na trakt od Dzikowia powyżej dworca. Nikt nas widzieć nie będzie, a gdy żyda wypłoszymy, to chłopcy wrócą znowu przez góry aż do Ryszowa i ztamtąd w południe przyjadą do Kruchy. Nikt na myśl nie wpadnie, że oni tu pracowali w nocy.

— A choćby i złapali — ozwał się stary Jakób — a czy ja to nie siedział za żyda... to nie hańba.

— Plan, jak na taki zamiar, był niemal genialny. Nazajutrz Staszek poleciał do Krakowa, odszukał Walka i przedłożył mu sprawę. Zgoda oczywiście stanęła zupełna, wciągnięto innych do spisku i już nazajutrz w nocy postanowiono urządzić polowanie.

Gdy Walek Stacha odprowadzał na kolej, spytał też o swoją rodzinę.

— Mój Walku! nie chciałem ci robić przykrości — odrzekł Stach — może ja się mylę, lecz sądzę, iż znowu stała się rzecz niedobra. Franka poszła na służbę.

— Gdzie poszła? kto naraił? — krzyknął Walek.

— Do Górnego Sącza! a naraił jakiś żyd. Byłem wczoraj u was, chciałem się o ciebie rozpytać i twoja matka opowiadała uradowana, że Franka znalazła doskonałe miejsce za 30 guld. miesięcznie...

Walek aż chwycił się rękami za głowę.

— Jezu Nazareński! jakież to moje matczysko głupie, już drugą córkę sprzedała żydom.

— Ależ Walek! — uspokajał Stach — ta to jeszcze nic pewnego.

— Ty mi tego nie mów — odrzekł Walek, niemal ze łzami w oczach ze złości — ja tego łotra agenta widziałem na parę dni przed mojem odejściem, kręcił się koło naszej chałupy, a jak lis na kurę, tak patrzył na Frankę, boć to dziewczyna jak róża... Oh psie krwie żydzie! ja się do twoich żeber dobiorę.

Pociąg odszedł, Walek wrócił do koszar, a nazajutrz wedle umowy z trzyma innymi kolegami ruszyli ku Kruchy ostatnim wieczornym pociągiem.

XVII.

Na drodze z Kruchy do Gębczyc stoi przy drodze kamienna kapliczka z obrazem Matki Bożej. Było już po godzinie dziewiątej, gdy ku owej kapliczce zbliżył się Stach z niewielkim węzełkiem pod pachą. Noc była dość ciemna, trochę nawet mgły było w powietrzu, w oddali trudno było poznać człowieka. Stach przysiadł na kamieniu za kaplicą i nasłuchiwał. Niedaleko za jego plecyma przeleciał pociąg z Krakowa ku Kruchy. — Wśród mroków nocy zdawało się, że jakiś potwór olbrzymi z kilkudziesięciu ognistemi oczyma, pędził wściekły, rozjuszony... całą rzekę pary słał sobie pod okrągłe a ruchawe łapy; czasami syczał, czasami gwizdał lub ogniste kłęby cuchnących wyziewów wyrzucał z paszczy do góry i ciągnął ich rozpaloną chmurę za sobą... poleciał, znikł i znowu cisza nastała... W pół godzinki potem słychać było od strony Stawiec stąpanie kilku ludzi. Jeden z nich gwizdał, a inni szli w takt, jak żołnierze w wojsku.

— To nasi chłopcy! — rzekł do siebie Stach i gwizdnął silnie a przeciągle.

Odgłos kroków ucichł, artysta urwał także swoje gwizdanie w pół taktu... cisza nastała w około.

Stach gwizdnął po raz drugi, ciszej a przewlekle. W dali ozwały się dwa urwane gwizdy i znowu dały się słyszeć pospieszne kroki.

Stach ruszył także naprzeciw.

— To wy chłopcy! — zawołał Stach — toś ty Walku! jak się macie! — i witali się serdecznie.

— Zejdźmy teraz z drogi! — rzekł Walek i wszyscy skierowali się ku podnóżu góry pokrytej leśną gęstwiną.

Przeleźli przez tor kolejowy, weszli na polankę otoczoną gęstymi krzakami i tu postanowili trochę odpocząć, bo i tak było jeszcze za wcześnie na wyprawę, a nadto trzeba było przebrać się przez dosyć stromą górę, by ominąć miasteczko.

Stach rozwinął zawiniątko.

— Macie tu pęcherze, doskonałe, wysuszone — i rozdał każdemu po pęcherzu... a tu są chusty na głowy.

— Kapoty wywrócimy podszewką na wierzch, gdy już miniemy Osień... Tu jeszcze nikt nas nie spotka!...

— Tymczasem podjedzmy trochę, a i czarka się znajdzie.

Rozłożyli się obozem — wypili po czarce czy dwie — zakąsili szperką i chlebem, a gdy posłyszeli gwizd lokomotywy i łomot pociągu biegącego po moście od Pakowa, ruszyli dalej w drogę... Było już blizko pół do jedenastej...

Skalistą, pochyłą a wązką drogą weszli w zarośla leszczyny, osiki i młodych świerków. — Ciemno choć oko wykól... ustawili się gęsiego i tak się drapali pod górę.

Olek syn gajowego na Osieniu prowadził — on tu każdy kamyk, każdy rów wymyty wodą znał doskonale, ciągle ostrzegał, której się strony trzymać — lecz to nie wiele pomagało.

Co chwila słyszałeś zgrzyt podkówek usuwających się po oślizłym kamieniu, albo chlust wody rozbryźniętej z kałuży, a zarazem wykrzyk jednego z towarzyszy: „A niech cię licho porwie!“ — „A to diabla droga!...“

Olek wesoły chłopak ciągle żartował, a przekomarzał się szczególnie z Walkiem. Gdy posłyszał, że ten, utknąwszy, przeklinał, wołał: „Walek! jak będziesz padał, to mię zawołaj!...“ Ej nie wąchaj błota, bo żydem cuchnie...“ Walek odpowiadał jak umiał, ale biedakowi nie było wcale do żartów... jemu na myśli stała siostra, Franka... a tu naraz ten urwis Olek jak gdyby drwił z niego, krzyknął: „Hej Walek! a dasz mi Frankę? — to was wywiodę na drogę... a nie, to utopię w błocie...“ „A żebyś sobie język ukąsił!“ zamruczał pod nosem Walek, na głos nic nie wyrzekł — bo jak tu się gniewać na tego poczciwca, choć go do głębi serca uraził... „No Walek! mów! bo to już twoja ostatnia godzina... dajesz mi Frankę czy nie? krzyczał hultaj Olek... Śmiali się serdecznie wszyscy, bo oto naraz droga się stała równiejsza, na przodzie zarysowała się jakaś świątlejsza plama, a w dali ozwało się psa szczekanie.

— Widzicie, jaki czujny Tyras! — już nas oszczekuje...

Wyszli na długą, idącą ku górnemu lasowi polankę, pokrytą miękką młodziutką trawą. Na lewo od niej leżało rozległe orne pole, za którem w oddali tysiąca kroków stała chata Olka.

Od niej to dolatywało szczekanie psów. — W chacie było ciemno — Olek gwizdnął zlekka, psy poczęły ogromnie ujadać. Wtem błysło światełko w oknie!...

— Oj źle! głupstwom zrobił! — zawołał z cicha do swoich Olek — myślałem, że ojciec śpi, a on pewnie był w drugiej izbie, zmykajmy, co prędzej, ku górze!

....I wszyscy pomknęli, co siła, a cicho, bo po ślizkiej trawie. — Od chaty słychać było gniewne wołanie...

— Kto tam gwiżdże?...

— To ja ojczulu!... odpowiedział szeptem Olek.

— Kto tam łazi po nocy? — wołał znów stary...

— A zawsze taki ja! — wyszeptał śmiejąc się Olek...

— Nie odzywasz się? — wołał ojciec. — Ja ci tu zaraz pokażę jak łazić po nocach! — Tyras! weź go!...

Nasi chłopcy dobiegli już krańca lasu i wstrzymali się trochę, by złowić oddech. Słyszeli jak w poprzek pola zbliżał się ku nim szmer biegnącego olbrzymiego brytana. Z nim nie było żartów, już niejednego złodzieja osadził, lecz teraz nie było strachu, bo Olek wysunął się naprzód i z cicha zawołał: „Tyras! a pójdziesz do nogi"? Poczciwe psisko poznawszy głos, zgłupiało w pierwszej chwili, lecz natychmiast rzuciło się na piersi swego pana i poczęło go lizać po twarzy, skomląc z wielkiej radości.

— Ojciec Olka, nie słysząc szczekania, począł wołać: „Tyras! Tyras!... a cóż to znowu u krotset lichów? — Tyras do nogi! do nogi!" — Tyras odbiegł od Olka, poleciał do jego ojca i począł szczekać wesoło...

— Cóż do pioruna — słychać było zrzędzenie starego Stirba — pokumałeś się ze złodziejami czy co?... Ja ci tu zaraz sprawię łaźnię!...

— No wiecie! rzekł Olek — mnie śmiech poprostu dusi... rodzony ojciec poszczuł mię psami i nazwał złodziejem!...

Znów weszli do głębi lasu pięknych, wysmukłych świerków podszytych u dołu krzewami leszczyny. Wiatr bujał po szczytach drzew i śpiewał jakąś dziką pieśń a szum iglastych liści i rozdźwięk gałęzi bijących się z sobą wtórzyły mu olbrzymim chórem. Czasami śpiewał cichutko płaczliwym, łkającym tonem a wtedy orkiestra milczała; to znowu się wzmagał przewodni ton co chwila wywołując nowy to głos w orkiestrze, aż czasem tak huczała we wszystkie instrumenta, tak biła konarami potężnie w takt, że głos przewodni błąkał się, cichł, zdawało się konał — aż pokąd znowu nie wypłynął samotny, spokojny, cichy, rozżalony...

Na szczycie góry stała kaplica z obrazem Matki Bożej. Chłopcy trochę przystanęli na odpoczynek, odkryli głowy, każdy tam zmówił jakiś paciorek a Olek — jak zawsze trzpiot, zakończył modlitwę wykrzykiem: „Matko Najświętsza pozwól nam żyda wypłoszyć."

— Z tego miejsca patrząc w dół, widać było doskonale dworzec kolejowy — szereg jasnych, wielkich lamp pozwalał nawet w nocy rozpoznać miejsce przezeń zajmowane. Właśnie w tej chwili poczęły gasnąć szeregiem te światła...

— Patrzcie! — zawołał Stach — światła gasną, to znaczy jedenasta godzina, trzeba się nam spieszyć...

Ruszyli rączo na dół, przemknęli obok chaty Walka, biedakowi serce się ścisnęło na myśl o France, a ten Olek, urwis, jak gdyby się uwziął na niego, poklepał go po ramieniu i rzekł:

— Jak mi nie dasz Franki po woli, to ci ją ukradnę... obaczysz!...

Kamienistą ścieżką, jak schody zrobioną, zeszli na dół, obwiązali głowy chustami, odzież wywrócili na nice, nadęli pęcherze i już teraz gęsiego, po cichu, by ich nikt nie dojrzał, nie poznał, posuwali się jak złodzieje obok własnych lub przyjaciół chat, kierując się ku dworcowi. Byli już o parę kroków od traktu do Dzikowia, gdy po nim przemknął szybko jakiś wóz, o ile w nocy można było rozpoznać, okryty budą... Z wnętrza jej dolatywały głosy jadących. Wśród głosów męzkich naraz zabrzmiało jakieś słowo wymówione kobiecym głosem. Walkowi się zdało, że zna ten głos, ale zajęty cały podjazdem na żyda, po chwili zapomniał, przeskoczył przez trakt wraz z kolegami i utonęli wszyscy w gajach wikliny... Po chwili pięć postaci wypłynęło o kilkadziesiąt kroków od dawnej chałupy Kazika.

Trzej stanęli półkolem w poprzek drogi od traktu, dwaj podsunęli się na palcach pod same okna chałupy. W chacie było światło przyćmione opuszczoną zasłoną — lichy zaledwo dosłyszany gwizd przebiegł od okien do dalej stojących na znak, iż wszyscy są w pogotowiu... Naraz rozległ się huk jakby rusznicy starego kalibru i w tejże chwili okna chałupy poleciały z trzaskiem i brzękiem do jej wnętrza.*)

— Aj waj! Gewalt! — ozwał się krzyk Aarona — płosz żyda! bij! zabij! — piszczały głosy i znowu rozległ się strzał iokropny.

Żyd wyjrzał przez drzwi... przed wejściem nie było nikogo cicho było w około. Zawahał się na chwilę przed progiem, aż, chwyciwszy poły jupicy do ręki, dał susa w stronę wikliny. Tego właśnie chłopcy czekali... Oskoczyli go półkolem o parę kroków w oddali, a ciągle go napierając i sypiąc nań żwirem bez przerwy, cofnęli go na sam brzeg rzeki... Dopiero rozległa się komenda: „strzelaj!" — padły dwa strzały naraz, aż ogłuchł Aaron i błysło mu w oczach jak błyskawica... postać Aarona znikła i tylko fale rzeki plusnęły... Na wysokim brzegu stanęli szeregiem chłopcy i poczęli piskliwie wołać: „pokłoń się od nas Goskowi!" „płucz wełnę! płucz!" — „A nie zapomnij lnu i konopi!" — „A rozbójniki, a złodzieje" — syczał żyd biegnąc łożyskiem rzeki po kolana w wodzie... Chłopcy biegli obok, sypiąc nań kamyczkami i nie dopuszczając mu wyjść na brzeg... Tak go przepędzili kroków może pięćset, aż do miejsca gdzie był bród. Żyd przebrnął na drugą stronę i począł kląć. Chłopcy mu jeszcze raz gwizdnęli chórem, huknęli na salwę ostatnim pęcherzem i zawrócili ku chacie.

— Cóż się tu działo? — zawołali wszyscy wchodząc do izby i widząc stół, na którym stała butelka jeszcze nie zatknięta, a rozrzucone kawałki chleba, kiełbasy, słoniny świadczyły jawnie, że tu przed chwilą była jakaś przekąska, coś tak jak w podróży i że owi podróżni nie byli żydzi. Nie długo trwała chwila zdziwienia, Olek jak zwykle przerwał ją pierwszy.

— A pal tam licho żyda. Użytku z tego zrobić nie możemy, bobyśmy w kozie osiedli za polowanie na żyda, tymczasem głodny jestem a i butelka mię nie straszy... No, chłopcy zwińmy się i w nogi, bo to jeszcze mamy przed sobą cztery mile wirchami.

Poczęli więc zmiatać i popijać czyście, znalazła się druga butelka, a i tę do kąta rzucono, bo trzecia przyszła na stół. Już się do wyjścia zbierali, wszyscy zachwiani w podstawach, jako myśliwym przystoi, gdy wtem jeden z chłopaków potrącił coś nogą, podniósł do światła i zawołał:

— Patrzcie no! ktoś tu węzełek swój zgubił!

Była to dziewczęca czerwona chuścina związana na krzyż, wewnątrz były jakieś rzeczy. Walek spojrzał i zadrżał.

— Rozwiąż! — zawołał — co tam jest?

Targnął za chuścinę, aż pękła w pół, ze środka wyleciało parę sztuczek bielizny i książka do nabożeństwa.

— Walek chwycił książkę do rąk, popatrzył i ryknął jak szalony...

— Jezus Marya!... Frankę żydzi porwali, ona tym wozem jechała, któryśmy spotkali... ja jej głos słyszałem...

— To w pogoń Walek! krzyknął również rozszalały Olek — ona teraz musi być w Tryszawie u Lejby...

— I my z wami biegniemy zawołali dwaj inni, a ty Stachu zostań tu w Kruchy i niezapomnij przynieś nam jeść do potoku naprzeciw fabryki, tam będziemy musieli siedzieć przez cały dzień i noc, bo już z Tryszawy nie zdążym na czas do Ryszowa.

We czterech więc ruszyli chłopcy co siły przez górę na przełaj do Tryszawy...

Niestety! zanadto wypili... Wkrótce jeden powiedział, że jest zmęczony, musi odpocząć, ale ich zaraz dopędzi — siadł odpoczywać i zasnął. To samo stało się z drugim, później i Olek przyzostał na jakiejś kłodzie zwalonej... Walek wytrzymał aż do przełęczy, tam mu w oczach pociemniało, upadł i zasnął...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Złote myśli.

Łatwiej znaleść różę bez kolców, pszczołę bez żądła, kotkę bez pazurów, niż kobietę bez uporu. *Kamiński.*

* * *

Liszka i niewiasta to dwa najzdradliwsze stworzenia na świecie. *Zagłoba.*

* * *

Kobieta ma najważniejszy wpływ na wychowanie dzieci, i słusznie można powiedzieć, że mężczyzna rządzi kobietą-żoną, ale kobieta-matka tworzy charakter mężczyzny. *Ziemięcka.*

*) Zwykły proceder płoszenia żyda w Żywcu.

Na wieś jadę w pola...

Na wieś jadę w pola,
Kędy pachnie rola!
Po fujarkę, po wierzbową,
Po swojackie, bliźnie słowo;
Za mną! komu wola!

Pośród dolin, wzgórz
Pnie się dróżka wzdłuż;
Na pagórkach chaty wieńcem
Przystanęły nad gościeńcem;
Na gościńcu kurz a wrzawa!
Na gościńcu kurz!

Z podwioskowych drzew
Dzwoni ptasząt śpiew,
Ciągną pługi za pługami,
Pobrzękując lemieszami
Na wiosenny siew, na jary!
Na wiosenny siew!

Od drewnianych „włók“
Idzie pył a stuk;
Zda się ziemia z człekiem woła,
By tej pracy w pocie czoła
Dopomagał Bóg, poświęcił!
Dopomagał Bóg!

Lśnią się wstęgi skib...
Jeno grzędziel skrzyp!
Jeno „żelaz“ warczy w bronie,
Czesząc warkocz po zagonie
Na powszedni chleb obsiany!
Na powszedni chleb!

„Hetta! Wiśta! Wio!“
Lśnią się skiby, lśnią!
Od uwrocia po uwrocie
Wszystko w słońcu, wszystko w złocie!
Aże oczy lgną i serce!
Aże oczy lgną!

Ze wsi wrzawa, z pola,
Kędy świeci rola!
Chociaż tęskno tego nieba
Onej ziemi wracać trzeba!
Taka mi już dola!

Kazimierz Laskowski.

Pierścień brylantowy.

(Opowiadanie prawdziwe.)

Było to na jakie dwa tygodnie przed świętami Bożego Narodzenia.

Nie wielu podróżnych znajdowało się na dworcu, to też z łatwością przyszło mi zajęcie oddzielnego *coupé*.

Udawałem się z Londynu do Paryża, wysłany przez ojca jubilera w celu zawiezienia na miejsce przeznaczenia nader kosztownego pierścienia, nabytego dla kogoś z rodziny panującej.

— Brylant ten przedstawia wartość przeszło 1000 funtów — upominał ojciec — to też miej go wciąż na oku i strzeż, aby ci go nie ukradziono. Podróż ta — to pierwsza próba twojej samodzielności, dowód samopomocy, jaki musisz mi złożyć przed objęciem interesu w Glazgowie, na czele którego radbym cię postawić.

Uśmiechnąłem się ironicznie na te słowa. Do objęcia kierownictwa milionowego interesu nie spieszyłem się, ale co do dojrzałości życiowej, na tym punkcie mogłem być o siebie zupełnie spokojny. Nawet mowy nie powinnoby być o zgubieniu, a tembardziej o pozwoleniu wyprowadzenia się w pole przez złodzieja.

Skończyłem przed kilku dniami lat dwadzieścia jeden, i doprawdy ojciec nie miał najmniejszego prawa do traktowania mnie jak dzieciaka.

Wsunąłem pudełko z klejnotem do wewnętrznej kieszeni tużurka i od czasu do czasu przekonywałem się za pomocą dotyku o istnieniu cennej przesyłki. Nie widziałem pierścionka, który mi ojciec doręczył w przezornem opakowaniu. Po wypaleniu cygara i przejrzeniu dzienników, przyszła mi myśl obejrzenia kosztowności. Wszak w podobnej ciekawości nie mogło być nic złego? Nieprawda? Wyjąłem etui z kieszeni i otworzyłem je. Na niebieskim pluszu przepyszny brylant połyskiwał wszystkiemi blaskami tęczy.

Byłem formalnie olśniony.

Któżby oparł się pokusie przymierzenia ozdoby? Ja nie. Wsuwałem wspaniały pierścień na każdy palec po kolei. Najlepiej odpowiadał wskazującemu palcowi u prawej ręki. Przystawał doskonale, ciasnym był w samą miarę.

To mnie doprowadziło do wniosku, iż nigdzie pierścień nie był bardziej bezpiecznym niż na palcu. Tu można go ukryć przed okiem świata pod rękawiczką zamszową i nikt nie domyśli się niczego. Tak, to będzie najpewniejsze i najpraktyczniejsze schronienie. Myśl moja zamieniła się w czyn, ale po chwili ściągnąłem rękawiczkę; byłem zupełnie sam w wagonie, nic mnie zatem nie przeszkadzało napawać się olśniewającym ogniem połyskującego świetnie klejnotu.

Nagle w okienku wagonu błysnęła postać obca; był to konduktor, przybyły dla ostemplowania biletu. W każdym razie szybkim ruchem nasunąłem rękawiczkę, tembardziej, iż za pół godziny pociąg dobiegał do Dowru.

Z dworca udałem się bezpośrednio na statek, mający mnie zawieść do Calais. Znajdowało się tu zaledwie kilkunastu pasażerów, a w tej liczbie dwie damy.

Jedna z nich była starszą, podtatusiałą jejmością, która przez cały ciąg przeprawy jadła i piła bezustannie. Ale za to druga — nie; — mało będzie gdy powiem, iż była to wymarzona piękność pełna zachwycającego wdzięku. Trudno było oderwać oczy od jej istoty uroczej. Przechodziłem wciąż koło foteliku, na którym siedziała, pożerając ją pożądliwem spojrzeniem. Jakie ta kobieta miała oczy, a co za przepyszne włosy koloru złocistego!

Przez mgnienie oka, źrenice jej spotkały się przypadkowo z mojem wejrzeniem, a w tych promiennych gwiazdach wyczytałem bezmiar smutku i tęsknoty.

O ile mogłem zauważyć była zupełnie samą.

Na poszukiwaniu sposobności zbliżenia się do niej zeszła mi blizko połowa podróży. Przechodziłem obok niej może pięćdziesiąty raz, gdy nagle do uszu moich doszedł głosik nieznajomej:

— Czy mogę trudzić pana prośbą o zawołanie garsona. Tak mi słabo, pragnęłabym pokrzepić się kieliszeczkiem koniaku.

Mówiła po francuzku. Głos jej brzmiał słodko i czule. Na razie byłem tak zmięszany, iż nie mogłem się zdobyć na doraźną odpowiedź. Skłoniłem się tylko i pobiegłem do bufetu, przynosząc co prędzej żądany koniak. Podziękowała mi z godnością, niepozbawioną zachwycającej serdeczności. Mógłbym rzec, iż piła jak kanareczek, gdyby kanarki używały jakichkolwiek trunków.

— Mam nadzieję, że się pani cokolwiek wzmocniła — zauważyłem nieśmiało.

— Tak, zapewne, — szeptała — dziękuję panu; od czasu jak owdowiałam, nieraz popadam w stan podobnego omdlenia.

To mówiąc, przycisnęła do oczu koronkową chusteczkę, ocierając zwolna spływającą łzę.

Jak zajmującem — co więcej, jakże wzruszającem jest podobne wyznanie! Teraz już wiedziałem, czemu była tak smutną. Ach jakże radbym ją pocieszyć z całego serca!

Przypadkowo w pobliżu jej znalazło się małe krzesełko. Ośmieliłem się przysunąć je ku niej i zająć miejsce, choć śmiałość ta wywołała rumieniec na moje policzki. Nie wydawała się jednak obrażoną i niebawem gawędziliśmy jaknajswobodniej ze sobą. Nie była dumną ani wyniosłą, przeciwnie — uchodzićby mogła za wcielenie uprzejmości i słodyczy.

Opowiadała mi, że spędziła trzy dni w Londynie. Miała tam do załatwienia ważne interesy, a teraz powraca do willi po za Paryżem, w której od chwili zgonu najdroższego męża, pędzi dni samotne. W Calais musi się z kimś widzieć, dlatego dopiero wieczornym pociągiem wyrusza w dalszą drogę.

Wszystko to wyszczebiotała z ujmującą szczerością. Doszedłem do przekonania, że i dla mnie najwłaściwszy byłby wyjazd wieczornym pociągiem. Oświadczyłem jej to, co nie zdawało się jej sprawiać przykrości. Powiedziała nawet, iż podróżuje się chętniej w miłem towarzystwie, przytem obrzuciła mnie spojrzeniem, ale jakiem spojrzeniem? Ach! Opowiedziałem jej również, iż jechałem do Paryża z ważnem zleceniem ojca, ale o pierścionku nie rzekłem ani słówka; spoczywał spokojnie pod rękawiczką, którą włożyłem jeszcze przed Dowrem.

Gdyśmy przybyli do Calais, urocza towarzyszka wyznała mi, że jest bardzo głodną, postanowiliśmy spólnie obiadowiać w hotelu. Ponieważ zaś sala jadalna była nadmiernie natłoczoną, podczas gdy nieznajoma poprawiała toaletę w numerze, kazałem nakryć w gabinecie oddzielnym.

Nie wzięła mi tego bardzo za złe i zaczęła z widocznym apetytem spożywać ostrygi.

Teraz przyszła kolej na zdjęcie rękawiczki. Pytanie tylko, co należało począć z pierścionkiem, włożyć go do *etui* lub też pozostawić na palcu?

Kto jest choćby po trochu psychologiem, odgadnie, jakie postanowienie powziął w tym wypadku młody dwudziestoletni mężczyzna, pozostający w towarzystwie pięknej damy.

Nieznajoma jadła nie wiele, była coraz bardziej ożywioną, przyczem na policzkach pojawiły się cudne róże. Jakże szybko biegły minuty! W tym rozkosznym gabinecie spędziłbym chętnie rok cały!

Po deserze dama zagadnęła mnie z nienacka.

— Czy pan nie pali?

— Więcej aniżeli potrzeba — odparłem — ale tutaj, przy pani?

— Ależ nie przeszkadzaj pan sobie, proszę! Lubię mężczyzn palących.

Powstałem dla wyjęcia z paltota papierośnicy, ale towarzyszka moja wdzięcznem poruszeniem położyła miękką rączkę na mojej dłoni — ach co to była za rączka — i rzekła cała zapłoniona:

— Muszę panu uczynić pewne wyznanie. Bawiłam przez dłuższy czas w Hiszpanii, gdzie wszystkie niemal damy palą. Czy panu nie jest niemiłym widok kobiety z papierosem w ustach?

— Niemiłym? ależ pani.

— Jesteś pan zbyt wytwornym światowcem dla wypowiedzenia swego w tym względzie zdania. Ale biorę uprzejmość pańską, za dobrą monetę. A teraz proszę popróbować mojego papierosa.

Wyjęła szybko z torebki podróżnej cygaretę i podała mi ją z rozkosznym uśmiechem, następnie zapaliła o świecę zapałkę i podała mi ognia.

Wtedy podniosłem do góry rękę, a nieznajoma ujrzała zapewne pierścień brylantowy.

— Może się panu nie podoba ten zapach — zapytała dama, pociągnąwszy kilkakrotnie papierosa — pochodzi on z perfumowanej tabaki. Ja palę ten tylko gatunek, przypuszczam, iż i panu nie wyda się on zbyt nie miłym.

— Przeciwnie. Posiadamy widocznie jednakie gusta, gdyż te cygaretki nadzwyczaj mi smakują. Oryginalne, — to prawda, ale przytem tak aromatyczne... przyjemne... wiel... ce... przy... jemne.

Jeżeli mam być szczerym, byłem w gruncie rzeczy całkiem odmiennego zdania, ale za nic w świecie nie zdradziłbym się przed nią z niemiłem uczuciem, jakiego doznawałem.

Paliliśmy milcząco przez pewien czas.

Spoglądając na nią w coraz to większem upojeniu rozmyślałem:

Cóżby piękna nieznajoma powiedziała, gdybym jej tak wyznał, iż rozkochałem się w niej do szaleństwa?

Czy zmiażdżyłaby mnie dumnem wejrzeniem, lub też...

* * *

Nagle zerwałem się i ku wielkiemu przerażeniu przekonałem się, żem spał jak zabity. W pokoju było całkiem ciemno, głowa ciążyła mi jak ołów. Podszedłem z wysiłkiem ku oknu i obejrzałem się niespokojnie po pokoju. Gdzież była moja towarzyszka? Czemu spałem tak długo? Przycisnąłem dzwonek z całej siły, a w kilka minut później ukazał się garson ze świecą w ręku.

— Gdzie pani? — zapytałem.

— Pani wyszła przed przeszło trzema godzinami — odparł służący — powiedziała, że ma mały sprawuneczek do załatwienia, i że niebawem powróci. W żadnym jednak razie — zapowiadała, bratu jej, który cierpi straszliwie na morską chorobę, przeszkadzać nie wolno. Dotąd— dodał — pani nie powróciła.

Odeszła przed trzema godzinami! Nie kazała wchodzić do chorego brata! Cóż to miało znaczyć? Usiadłem dla zebrania myśli i mimowolnie ręką namacałem małe pudełeczko schowane do wewnętrznej kieszeni surduta. Równocześnie rzuciłem okiem na palec.

Pierścienia ani śladu.

Jakby żądłem żmii dotknięty, zacząłem przebiegać gorączkowo pokój, następnie padłem wyczerpany na fotel, ukrywając twarz w dłoniach...

* * *

Nazajutrz o godzinie dziewiątej stanąłem skruszony przed obliczem ojcowskiem i wyznałem całą prawdę.

Podczas gdym ze wstydu i wściekłości łzy wylewał, rodzic mój uśmiechał się dziwnie szyderczo i ironicznie.

Gdym ukończył opowiadanie, poprowadził mię do biurka, nacisnął tajemną sprężynę i wysuwając ukrytą szufladkę, rzekł:

— Uspokój się, mój synu. Patrz, oto leży pierścień ten sam, nienaruszony.

Nie mogłem słowa wymówić ze zdziwienia. Ojciec ciągnął dalej:

— Skoro cię dama opuściła, był jeszcze czas podążenia do Dowru dla bezpośredniego powrotu. Pierścień znajdował się w całości w moich rękach jeszcze wczoraj wieczorem.

— Ależ... ależ — pytałem — nic nie pojmuję. Jeżeli ukradła pierścień, pocóż go tobie zwracała?

— Ponieważ była za to zapłacona. Dama ta nie jest z zawodu złodziejką, ale łapaczką złodziei, oddającą nam niemało przysług. Takeś był pewnym siebie, mój kochany, iż postanowiłem dać ci nauczkę, która ci się może na przyszłość przydać w życiu, a zresztą szło mi o dowiedzenie pyszałkowi dwudziestojednoletniemu, iż bywają na świecie ludzie sprytniejsi od niego.

Po upływie pewnego czasu, gdym, ochłonąwszy raz jeszcze, rozważał wszelkie szczegóły „eksperymentu", rzekłem do ojca:

— A jednak to była rzecz ryzykowna z twojej strony. Urządzać podobną zabawkę z pierścionkiem, którego wartość przechodziła 1,000 funtów?

Ojciec wzruszył ramionami i odparł ze śmiechem:

— Mój kochany chłopcze, za kogo bierzesz twego starego ojca? Brylant w pierścieniu był — fałszywy.

M. T.

Podwójny sen.

I.

Pocoś ty mi się dziś przyśniła,
Czarowna wiosno?
Oto mnie twa zawiodła siła,
Gdzie lilje rosną,

Kwiatu jabłoni deszcz różany
Spadł mi na głowę,
Bzów zapachniały mi kaczany
Ametystowe.

Zielonej runi woń zapłodna
Szła wskroś pól... cicha.
Pszczółka spijała słodycze do dna
Z kwiatów kielicha.

Strumyk piosenkę nucił szklanną
Wśród niezabudek;
I oset żenił się z dziewanną,
Stary odludek!

A wszystko w krąg szeptało społem
„Luba" i „luby";
Świat jednym wielkim był kościołem
Na ciągłe śluby.

II.

Pocoś ty mi się dziś przyśniła,
Młodości moja?
Oto mnie twa zawiodła siła
Do wspomnień zdroja.

Dusza ma znowu, jak przed laty,
Dostała skrzydeł,
Aby szybować hen... za światy,
Do czczych mamideł.

Ubrały mi się życia ciernie
W anielskie pierze:
Czułam, że kocham znów bezmiernie,
Bezmiernie wierzę.

Że złotych rojeń nic tęczowa
Znów mi się ima...
I widzieć byłam znów gotowa
W karle... olbrzyma.

Ach! wracał błąd błogosławiony,
Droga ślepota!
Szczęśliwa! biłam znów pokłony
Przed garścią błota.

III.

Tak pijąc z czary tych uniesień,
Pełnej po brzegi,
Budzę się... patrzę... Wszak to jesień!
A w sercu — śniegi.

Hajota.

Myśl

Wszystko co zabronione, jak owoc zakazany, wabi i ciągnie naturę ludzką. Gdy rzecz zakazana wzniosła jest i dobra, gdy myśl Boża jest prześladowana, garną się do niej tłumy najlepszych na przekór prześladowcom i umieją dla prawdy cierpieć; stąd w czasach prześladowań najpiękniej rozkwitały cnoty chrześciańskie i prawda tryumfowała nad brutalną przemocą.

Kraszewski.

✝

Nekrologia.

✝ **S. p. Izaak Issakowicz**, orm. kat. arcybiskup lwowski. Wszystkie trzy stolice arcybiskupie w Galicyi po kolei w czasie krótkim śmierć opróżniła, bo zaledwo zasiedli jako nowi arcypasterze na tronach grecko-katolickiej metropolii lwowskiej ks. Szeptycki, a rzymsko-katolickiej ks. Bilczewski, gdy oto otrzymaliśmy ze Lwowa żałobną wiadomość o zgonie ormiańskiego arcybiskupa ks. Izaaka Issakowicza, jednego z najszczerzej oddanych społeczeństwu i najpopularniejszych kapłanów jacy byli, ascety w sposobie życia, kaznodzieji i mówcy, który darem wymowy Skargę przypominał.

Dobiły go ostatnie wypadki bankowe.

Ks. Izaak Issakowicz urodził się w dniu 6 czerwca 1824 w Łyścu w Galicyi. Po ukończeniu studyów teologicznych był proboszczem i dziekanem w Stanisławowie. Arcybiskupem został dnia 2 maja 1882 roku. Dożywotnim członkiem Izby panów został 14 grudnia tego samego roku. — Tytuł radzcy tajnego otrzymał w r. 1890.

Gdziekolwiek był tylko polski posterunek patryotyczny zagrożony, gdzie tylko trzeba było w ciężkiej nowej walce narodowej słowa pociechy, tam wszędzie stawiał się ś. p. ks. Issakowicz, za co nieraz ciężkie chwile przechodzić musiał, dzięki wymówkom ze stron rządowych, konserwatywnych i klerykalnych. Jaką się w zamian cieszył czcią w całym kraju, świadczy to, że wprost trudno wyliczyć te miasta, których honorowym obywatelem, począwszy od Lwowa był Ks. Arcybiskup.

Cześć Jego pięknej i czystej pamięci!

* * *

✝ **S. p. Marceli Żółtowski**, nestor obywatelstwa naszego, zmarł w 89-ym roku życia. Zmarły był wzorem obywatela-Polaka na każdem stanowisku. W r. 1831 był oficerem w armii polskiej. Jako poseł odznaczał się wielką odwagą cywilną i stanowczością występowania. Majątek znaczny utrzymał i podwoił, a ofiarnością celował na wszelkie cele publiczne. Znaną była jego wielka bogobojność. Sympatyczna postać, ubywająca od czynu i rady, wielką szczerbę pozostawi w szeregach naszego społeczeństwa. Cześć Jego pamięci!

* * *

✝ **S. p. Ludwik Dygat**, uczestnik powstania 1863 roku, członek wydziału związku wychodźtwa polskiego, członek rady muzeum narodowego w Rapperswylu, członek rady administracyjnej szkoły narodowej polskiej w Paryżu, opatrzony św. Sakramentami, zakończył życie d. 24 kwietnia 1901 roku w La Barre pod Paryżem.

Wyprowadzenie zwłok z dworca północnego w Paryżu (179, Faubourg St-Denis) do kościoła St. Vincent de Paul odbyło się w Sobotę, dnia 27 kwietnia o godz. $11^3/_4$, poczem, po odprawionem nabożeństwie, zwłoki przewieziono do Ecouen (S.-et-O.) i pochowano tam w grobie familijnym. R. i. p.

* * *

✝ **Dnia** 26 z. m. zakończył żywot doczesny w Poznaniu ś. p. **Nepomucen Kamieniecki**, porucznik z r. 1848. Cześć jego pamięci!

Teatr Polski w Poznaniu.

W tym tygodniu zamknęły się podwoje naszego teatru na czas dłuższy. Pan Ryger zabiera artystów i wyjeżdża do Ciechocinka na latówkę. Czas rzucić okiem na ubiegły sezon teatralny.

Kto tak, jak ja był częstym gościem w teatrze, może śmiało zaświadczyć o rzetelnej pracy dyrektora dla sztuki polskiej.

„Artyści młodzi, materyał podatny, lecz nie wyrobiony — z wyjątkiem kilku uzdolnionych i rutynowanych artystów.“

A dziś na końcu sezonu teatralnego, jaki wyborowy zespół!

Przemiany tej dokonał oczywiście nie kto inny, tylko dyrektor Ryger. Trzeba mieć duże zdolności aktorskie, trzeba mieć wielkie do sztuki zamiłowanie, aby takiej przemiany dokonać.

Nazywają nasz teatr szkołą dramatyczną — jest nim nasz teatr pod pewnym względem, bo bodaj na żadnej stałej scenie artysta nie jest zmuszonym do występowania w rolach tak różnorodnych i tak często.

To właśnie jest dobrem dla młodszych sił, tu właśnie mają artyści sposobność do wymiarkowania, który rodzaj ról przypada do ich uzdolnienia.

Nie wyrobiłyby się jednakże ani siły, ani nie wybiłoby się przyrodzone uzdolnienie, gdyby na czele sceny nie stał człowiek tak z gruntu znający swe zadanie, swój zawód, swój obowiązek i tak wysoko uzdolniony do rozwięzywania najróżnorodniejszych zadań i tak gorąco rozmiłowany w swej sztuce. Takim kierownikiem sceny, jest p. *Ryger*.

Właśnie w takiej szkole jedynie i pod takiem właśnie kierownictwem mógł się też rozwinąć bogaty talent pani *Wysockiej i panny Łąckiej*, rokujących jak najlepsze nadzieje, przy takiej pomocy mogła wykształcić się i urutynować cała gromadka młodszych, bardzo sympatycznych artystów.

Teatr polski u nas ma o tyle trudniejsze zadanie niż gdziekolwiek indziej, że nie ma dostatecznego poparcia w prasie, przeważnie politycznej.

Prasa nasza codzienna widocznie więcej zajęta Kaisergartenem i Apollinem — niż naszym teatrem polskim, który nieraz świeci pustkami w przeciwieństwie do Kaisergartenu przepełnionego po brzegi przeważnie polską młodzieżą. I nie dziw! Toć pisma nasze rzadko kiedy wspomną o teatrze polskim, a jeżeli, to już w paru suchych słowach! Natomiast gdy sprytny reżyser Kaisergartenu urządził płytki kawał à la Pytlasiński, to pisma nasze na całe gardło rozpisują się nad świetnem zwycięstwem polskiego siłacza, który pobił koszlawego niemiaszka i znów na odwrót — stosownie do poprzedniego porozumienia się...

Młodzież nasza, lubująca się w podkasanej muzie, a zachęcona na dobitek przez nasze pisma codzienne — pędzi do Kaisergartenu, by widzieć Pytlasińskiego — no i inne lżejsze widowiska, wyjałowiające nietylko umysł, ale i duszę...

Jeżeli więc młodzież nasza rozbija się po Kaisergartenie z pominięciem teatru — to winna temu jedynie prasa polska, w której łamach niemal codzień spotykamy się z pochlebną wzmianką o Kaisergartenie, a ani słowa o naszym teatrze.

Lecz mimo tych trudności, teatr nasz wywiązał się z zadania i to ku największemu zadowoleniu ogółu.

Słyszałem kilkakrotnie zdania wytrawnych znawców sztuki scenicznej — i wszyscy z całem uznaniem byli dla dyrektora i jego artystów.

Więc w chwili, kiedy dyrektor ***Ryger*** opuszcza gród nasz na czas dłuższy, słusznem jest, aby mu towarzyszyły nasze życzenia najlepszego powodzenia i równocześnie życzenia, aby do nas powrócił i na nowo jął się pracy z pożytkiem dla siebie, z pożytkiem dla ogółu i z pożytkiem dla sztuki polskiej.

Do widzenia jesienią! *Widz.*

W następnym numerze podamy

mapę powiatu Gostyńskiego

i ogólny pogląd na tenże powiat, z dołączeniem licznych illustracyi, odnoszących się specyalnie do powiatu Gostyńskiego

z odnośnym opisem wszystkich miast, wsi, wiosek, osad i folwarków Gostyńskiego powiatu.

Następnie przychodzi powiat Poznański Wschodni i Zachodni, potem Wschowski, dalej Krotoszyński, Kościański i t. d.

☞ Chodzi nam więc teraz tylko o opis powiatu

Poznańskiego Wschodniego i Zachodniego.

W każdym tygodniu dorzucimy jeden powiat dalszy, który ma nastąpić, by Szanownym Czytelnikom dać możność przygotowania i udzielenia nam informacyi dla zapowiedzianych powiatów.

Jakkolwiek kilku obznajmionych z przedmiotami pracowników już od kilku tygodni zajmuje się skwapliwie opracowaniem tych map i opisami, to jednak zwracamy się do Szanownych Czytelników, *aby każdy zechciał nam nadsyłać opisy znajdujących się w miejscu jego zamieszkania pamiątek przeszłości, ruin, historycznych kopców, kościołów, pochodzących z czasów polskich i t, d.*

Inteligencyą naszą miejską i wiejską prosimy o podanie nam wspomnianych podań ludowych w odnoś-

nych miejscowościach, walk z najeźdzcami, o wiadomości o szańcach, okopach, o przechodzie wojsk, o dłuższym lub krótszym pobycie królów naszych, o urodzeniu i śmierci sławnych naszych mężów i t. p.

Szczególnie Wielebne Duchowieństwo i osoby w dozorach i reprezentacyach kościelnych zasiadające, prosimy jak najuprzejmiej, ażeby nam przesyłać raczyły wiadomości dotyczące świątyń naszych Pańskich, ich erekcyi, wiadomości o obrazach i pomnikach w nich się mieszczących, a dotyczących naszych przeszłości.

Każdy więc z naszych Czytelników, który jest w możności przysłużenia się sprawie, niech nam pod tym względem nie odmówi informacyi. Nie chodzi nam też wcale o jakąś całość, tylko o podanie faktu w prostych, krótkich słowach, gdyż my ten z różnych stron odebrany materyał tutaj dopiero powiążemy w całość i opracujemy starannie.

Bardzo pożądane byłyby też fotografie czyli podobizny miast i wsi i to teraz powiatu Poznańskiego Wschodniego i Zachodniego, potem Wschowskiego, Krotoszyńskiego i Kościańskiego, a mianowicie fotografie kościołów, klasztorów, pomników oraz podobizny zasłużonych obywateli, obrazy z bitw, potyczek i t. p. Po zdjęciu kliszy odeślemy te fotografie i obrazy z podziękowaniem z powrotem bez najmniejszego uszkodzenia.

Wydawnictwo „Pracy.“

Książki nadesłane do Redakcyi.

Maryan Maitler — Winnicki.

Sonety Poznańskie. — Poznań 1901.

Kto wie, ile dobrego czynią polskie Siostry miłosierdzia, Córki św. Wincentego wśród emigracyi naszej we Francyi, ilu krzepią zbolałych ciałem i ilu upadłych na duchu, jak są niestrudzone w służbie bożej i miłości bliźniego, ten zrozumie dlaczego autor „Sonetów Poznańskich“ im właśnie rymy swe poświęcił. Chociaż forma tych Sonetów nie wszędzie gładka, myśl nie zawsze jasna, wieje z nich serdeczne umiłowanie kraju ojczystego. Nie małą ozdobą książeczki są wcale ładnie wykonane ryciny kilku kościołów i ratusza Poznańskiego.

Wiadomości.

— **W dniu imienin** Najprzewielebniejszego Ks. Arcybiskupa (4go bm.) zasyłamy ku Niebu z serca przejętego głęboką wdzięcznością i miłością gorącą prośbę do Boga, aby naszemu Najprzewielebniejszemu Ks. Arcybiskupowi dał wiele siły do dźwigania krzyża, jaki Bóg włożył na Jego barki. Oby przedewszystkiem Bóg Miłosierny, jak prawie cudem przywrócił Mu w minionym roku zdrowie i siły, utrzymywał to drogie nam zdrowie i cenne dla dobra dyecezyi siły w jak najdłuższe lata.

— **Baczność. Z powodu trudności technicznych numer powiatu Gostyńskiego, pięknie illustrowany, odłożyć musieliśmy do przyszłego tygodnia, ogłoszenia do tegoż numeru przyjmujemy jeszcze do środy t. j. dnia 8-go maja włącznie.**

— **Agencyą** „Pracy na Ueckendorf i okolicę (w Westfalii) powierzyliśmy panu *Stanisławowi Kunzowi*, który jest uprawniony do zbierania przedpłaty. — P. Kunz mieszka *w Ueckendorfie, Bochumerstr. Nr. 40.*

Agentura „Pracy“ w Gerschede w prow. Nadreńskiej znajduje się u p. *Wiktora Gimzickiego Harstr. 5.*

W Brześciu p. Miserau G. Ślązk znajduje się agentura „Pracy“ u p. *Józefa Lazara.*

— **Na fundusz** imienia Janiny Omańkowskiej złożyli w dalszym ciągu pp. Pal. 50 fen., W. S. 50 fen., X. 3 mrk., gimnazyaści 13 mrk., wszyscy z Hanoweru.

Dotąd zebraliśmy na cel powyższy 449 mrk. 22 fen. Z tej sumy doręczyliśmy Towarzystwu „Samopomoc“ 403 mrk. 19 fen., pozostaje zatem u nas 46 mrk. 3 fen. Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

— **„Bocian.“** „Pierwszy numer „Bociana“, poświęcony „Patronowi bocianiego rodu“, ojcu satyryków polskich, arcybiskupowi Ignacemu Krasickiemu, ozdobiony bardzo udatną jego podobizną, przedstawia się wcale dobrze tak co do treści, jak i rycin, symbolicznie przedstawiających aktualne perypetye polityczne. Paradną jest korespondencya „ze stolicy piekieł.“ Polecamy jej lekturę wszystkim sprzedawczykom ziemi ojczystej. Przedpłata roczna „Bociana“ wynosi 4 marki. Adres redakcyi: „„Bocian“, ulica Fryderykowska nr. 12. Poznań.“

Pierwszy numer zawiera 16 stron druku.

— **W szkole kroju damskiego** M. Kazubowskiego w Poznaniu, założonej w roku 1870 ym rozpocznie się nowy kurs dnia 7-go b. m. Szkoła ta istnieje już od lat 30 i cieszy się zasłużoną renomą; dotąd wykształciło się w niej już przeszło 8000 pań na krawczynie. Na odnośne ogłoszenie zwracamy baczną uwagę Szanownym Czytelniczkom.

— **Handel korzenny,** dobrze zaprowadzony, interes prosperujący, jest do nabycia w jednem z większych miast Górnego Ślązka. Na odnośne ogłoszenie zwracamy baczną uwagę reflektantów.

— **Pan Jan Bartkiewicz** w Poniecu poleca swój interes siodlarski i tapicerski łaskawym względom Szanownej Publiczności. Pan Bartkiewicz zasługuje na szczere poparcie jako dzielny i ruchliwy przemysłowiec.

— **Zakład fotograficzny** pani Zofii Żmudzińskiej, istniejący w Gostyniu od lat 12-tu polecamy względom Czytelników Gostynia i okolicy. Wszelkie prace wykonują się w zakładzie p. Ż. artystycznie według najnowszych ulepszeń.

— **Ślub.** W dzień św. Wojciecha pobłogosławiony został w Bytomiu związek małżeński p. dr. Michała Kowalika, lekarza ze Szarleja na Górnym Śląsku, z panią Ireną Dalbor z Bytomia. O godzinie 8 rano odprawił młodszy brat doktora ks. Stanisław Kowalik z Mikorzyna mszą św. na intencyą młodożeńców, o godzinie 4 po południu udzielił im ślubu starszy brat ks. proboszcz Bronisław Kowalik z Kąkolewa w asystencyi ks. radzcy Schirmeisena i ks. Stanisława Kowalika.

Szczęść Boże młodej parze!

— **Ślub.** Dnia 22 kwietnia pobłogosławionym został związek małżeński w pięknie przystrojonym kościele w Szadłowicach pomiędzy p. Kazimierzem Jarczewskim z Gniezna, a p. Edwiną Majorek z Słupska pod Inowrocławiem. Po dokonanym obrządku ślubnym podejmowali rodzice panny młodej licznych gości z staropolską gościnnością i bawiono się ochoczo do rana.

Szczęść Boże młodej parze!

— **Śrem.** Dnia 27-go z. m. obchodzili państwo doktorostwo Broekere uroczystość srebrnego wesela w gronie licznie zebranej rodziny. Najprzewielebniejszy Ksiądz Arcypasterz raczył przesłać listownie swe błogosławieństwo Szanownym Jubilatom. Na dalsze 25 lat szczęść Boże!

— **Z Wągrowieckiego** pisze „Dzien. Pozn.“ Bolesna nowina. Majątek ziemski Strzeszkowo 1100 mórg sprzedał dotychczasowy właściciel Antoni Moszczeński kolonizacyi za 200.000 marek.

— **Toruń.** Na miesiąc więzienia skazał dnia 26 z. m. tutejszy sąd ziemiański wydawcę „Gaz. Tor.“ p. Buszczyńskiego za to, że wydając śpiewnik pod tytułem: „Niech żyje pieśń polska!“ — chciał zburzyć państwo pruskie i odbudować Polskę. (?!) Sąd mimo świetnej obrony p. adwokata Szumana uznał p. B. winnym podburzania Polaków przeciw Niemcom. Prokurator wniósł, aby oskarżonego skazano na — trzy miesiące więzienia.

— **Grudziądz.** Dnia 26 kwietnia r. b. toczył się przed izbą karną proces przeciw redaktorowi „Gazety grudziądzkiej“ p. Sobiechowskiemu o artykuł zamieszczony w numerze tegoż pisma z dnia 29 grudnia r. z. a zarzucający urzędnikom spisującym ludność dnia 1 grudnia r. z. nieprawidłowe postępowanie i wykroczenie przeciw ich urzędowym obowiązkom. Wielu spisujących miało n. p. u Polaków zapisywać wbrew oświadczeniu tychże, że są Polakami jako mowę ojczystą mowę koszubską, a u katolików nie uwzględniać ich wyznania. Oskarżony wnosił o usunięcie dyrektora Heydricha jako przewodniczącego i sędziów Rosenstocka i Petersena jako współzasiadających, twierdząc, iż zachodzi obawa stronniczości po ich stronie. Sąd wniosek ten odrzucił, ponieważ wszyscy zaczepieni sędziowie oświadczyli, że nie są uprzedzeni. Oskarżonego skazano następnie za obrazę urzędników na 500 mrk. kary event. 50 dni więzienia, zarazem przyznano obrażonych prawo publikacyi wyroku. — W sprawie tej wysłuchano 25 świadków, sąd nie mógł się jednakowoż przekonać, że zarzuty oskarżonego, czynione urzędnikom spisującym były uzasadnione.

— **Wyrzysk**, d. 29 kwietnia. Wiadomość umieszczona w Nrze 17 „Pracy,“ jakoby w Wyrzysku było bardzo pożądanem osiedlenie się lekarza Polaka ma, jakto łatwo poznać można, charakter na wskroś tendencyjny, by podkopać byt osiadłego tu już od lat 10 lekarza Polaka. Wyrzysk ma tylko około 1600 mieszkańców, a jest tu aż 3 lekarzy, 2 Niemców i jeden Polak, i tak za wielu na tak małe miasto. Nie czuje też zresztą tu nikt potrzeby innego lekarza z wyjątkiem chyba malkontenta korespondenta.

(By uniknąć na przyszłość możliwych sprostowań, nieprzyjemności itd., odtąd w sprawach, jak powyższa, zamieszczać będziemy wiadomości tylko takie, które zawsze zaopatrzone będą co najmniej w dwa wierzytelne podpisy wpływowych osobistości z tej miejscowości, z której wiadomość odnośną odebraliśmy. Inaczej wiadomości takie powędrują raz na zawsze do kosza. — Przyp. Redakcyi.)

Od Redakcyi.

P. Jaks. Jeżeli Pan owego artykułu nie zrozumiał, to niestety ze względów prasowych nie mogliśmy się jaśniej wyrazić. Ha, trudno!

P. Jan Deliński. Listem sprawił Pan nam wielką przyjemność.

P. Kasierski. Bardzo prosimy o zachęcanie do czytania „Pracy.“ I tym najobojętniejszym ludziom Pan Bóg wreszcie w serca promyczek jasny rzuci i staną się znowu Polakami.

Do wszystkich. Cały szereg listów nie mógł być załatwiony, ponieważ cała plika *zapodziała się* przy rewizyach policyjnych. Obecnie wszystkie kolejno uwzględnimy.

P. Barański z Westfalii. Serdeczne podziękowanie za tak miły list.

P. Kupka. Słuszne uwagi. Listów ze Ślązka przyjdzie znowu dużo do druku.

P. Samarzewski. Prosimy o wiad. artykuł.

Panu A. Z. Wiersza ze względów prasowych zamieścić nie możemy.

Panu T. Z. w S. (Prusy Zachodnie). — To samo.

Magdeburg. Serdeczne pozdrowienia. Dostaliśmy setki takich listów — więc nie ogłaszamy.

Gniewkowo. Ponieważ jednanie abonentów nie przynosi Panu zysków, więc świadectwo podatkowe nie potrzebne.

P. Zarnowski. Serdeczne dzięki za piękny i tak życzliwy list. Zalecamy nabycie (z księgarni) książki dr. Rakowskiego „Powstanie poznańskie.“ Na listy zapisane i przekazy nie znamy sposobu. Zwyczajne można adresować po polsku i wrzucać do skrzynki, a nie oddawać przy okienku.

P. Zuske. Borek. Był to wypadek zupełnie wyjątkowy. Tam gdzie chodzi o sprawę, trudno brać względy na jednostki. Szczere zdanie zawsze chętnie przyjmujemy, — co zaś do powieści, to obecna jest oryginalna polska.

P. Piech. Szamotuły. Bardzo nam było miło otrzymać list pański.

P. Zakowski. Serdeczne podziękowanie. Nie umieścimy, bo na tej satyrze mało ktoby się poznał.

P. Longinus. Doprawdy nie pojmujemy o co Panu chodzi.

Dr. P. Heidelberg. Argument „contra“ już niejednokrotnie był używany w dyskusyi przeciw tym rozporządzeniom.

P. Pietz. Serdeczne dzięki. Nie umieszczamy, bo by nas to narazić mogło na nowy proces.

Zadumany akademik. Bardzo sympatyczne, ale w szerszych warstwach nie obudziłoby interesu.

P. Stan. Wojciechowski. Na zapytanie, z którem się Pan zwrócił do Lwowa, odpowiadamy, że najlepiej zgłosić się do biura patentowego B r a n d t i N a w r o c k i w Berlinie, przy ulicy Friedrichstr.

Rydułtowy. Górny Ślązk. Serdecznie dziękujemy za list. Deklaracyi panów przeciw posłowi dr. J. już nie umieszczamy, sądząc, że na ten raz obrachunki skończone. Prosimy o korespondencye dalsze. List nas bardzo ucieszył.

Młody wieśniak Górnoślązak. List sprawił nam wielką przyjemność. Podzielamy zdanie w zupełności. O sprawie nie zapomnimy. Adres Pański zapisany i gdy trzeba będzie czegoś, zwrócimy się. Czołem!

Pani A. Ch. w Ostrzeszowie. — Najlepszą informacyę w tej sprawie chętnie Pani udzieli Redakcya „Czasu“ w Krakowie.

Panu J. Eck. w Gliwicach. — Jaki nosi tytuł Pańska nowelka? Po tylu rewizyach, konfiskatach i t. d. trudno nam dojść do ładu; w danym razie zamieścilibyśmy, jeżeli bezinteresownie.

Panu Ryszardowi W. w Illmenau (Turyngia). — Zaabonować Pan możesz w księgarni A. Cybulskiego w Poznaniu św. Marcin.

Humorystyka.

Śmiejmy się...

Przeminą sny — przepłyną łzy
I świat za niemi się rozśmieje:
Więc śmiejmy się!
Młodości czar i jasnych wiar
Wnet mroźny życia wiatr rozwieje:
Więc śmiejmy się!
Porywów szał, co w boje zwał,
W zawodów gorycz się przeleje:
Więc śmiejmy się!
Miłości cud, co życie wiódł
Na rozkosz, we mgłę się rozwieje:
Więc śmiejmy się!
Przeminą sny — przepłyną łzy
I świat za niemi się rozśmieje:
Więc śmiejmy się!

Piorun.

Zna wagę.

— Wyobraź sobie moje zmartwienie!... a toż ja ważę już 190 funtów!

— Zkądże wiesz o tem?

— Ważyłam się.

— Gdzie?

— W składzie węgli u Szwindlarskiego.

— Eh, jeśli ważyłaś się na jego wadze, to uspokój się, moja duszko, ważysz najwyżej 120 funtów.

— **„Zioła lecznicze“**, rosnące u nas dziko i hodowane w ogrodach i na polach, ich zgromadzenie, suszenie i przechowywanie spisał Tadeusz Śniegocki, Poznań. Nakładem autora. Czcionkami drukarni „Pracy“ (M. Biedermann.) 1901.“

Dziełko to nabyć można za nadesłaniem 60 fen. w Ekspedycyi „Pracy“ przy ul. Rycerskiej 38.

Agentury
na
„Pracę“ i „Czytelnię Polską“
znajdują się

w W. Księstwie Poznańskiem:

w *Gnieźnie* u p. *Romana Majerowicza* przy ul. Trzemeszeńskiej,
w *Grodzisku* u p. *W. Aleksandrowicza*,
w *Górczynie* p. Poznaniem u p. *K. Skowrońskiego* ul. św. Łazarza 41.
w *Główcie* pod Poznaniem u p. J. *Drzewieckiego*.
w *Ostrowie* w księgarni *W. Leitgebra*.
w *Mogilnie* u p. *Fr. Wiśniewskiego*,
w *Inowrocławiu* w księgarni p. *Kompfa* przy ul. Fryderykowskiej nr. 5.,
w *Śremie* w handlu papieru i dewocyonalii p. *C. Wojciechowskiego*.
w *Wągrówcu* w handlu cygar „Havana“ p. *Samolińskiego*.
w *Bydgoszczy* w księgarni p. *L. Neumanna* przy ul. Fryderykowskiej 1.

w Prusach Zachodnich:

w *Pr. Starogardzie* w księgarni p. *Nowaka*,
w *Czersku* w księgarni pana *Leona Zyndy*,

na Górnym Śląsku:

w *Opolu* w ekspedycyi „*Gazety Opolskiej*“,
w *Król. Hucie* w księgarni p. *J. Mateja* przy ul. Puddlera 30. i u p. *Jana Szeja* przy ul. Hajduka,
w *Rożdzieniu* u p. *Franciszka Richtera* w domu p. Walitza naprzeciw kościoła farnego i u p. *Jana Badury* przy ul. Bogufała — Traugottstr. nr. 10,
w *Bogucicach* u p. *Franciszka Marcola*, i u p. *Pawła Susa*.
w *Mikucicach* u p. *Józefa Sieradzona*.
w *Janowie* przy Mysłowicach u p. *A. Spiera*,
w *Godullahütte* p. Morgenroth u p. *Michała Bromma*,
w *Rudzie* przy Biskupicach u p. *Józefa Białasa*,
w *Rozbarku* p. Bytomiem w księgarni p. *Glazowskiego*,
w *Katowicach* w księgarni p. *Antoniego Stoca*, obok domu towarowego Bobreka,
w *Dorocie* p. Zabrze u p. *Michała Blachuta* ul. Polna 6.
w *Gliwicach* w księgarni p. *Jasiczka*.
w *Brześciu* p. Miserau u p. *Józefa Lazara*.
w *Pyskowicach* u p. *Feliksa Orlickiego*.

w Niemczech:

w *Baukau* p. Gelsenkirchen u p. *Michała Wojciekiewicza* Kraugestr. 48,
w *Bruch* pow. Recklinghausen u p *Ludwika Kubiaczyka*, mistrza szewskiego Marienstr. 346 przy kościele katolickim.
w *Lüssum* p. Blumenthal i. H. u p. *A. Kołowskiego*.
w *Bremenie* u p. *Jana Marcinczaka* przy Stefensweg 98 II,
w *Misburgu* przy Hanowerze u p. *Michała Maciejewskiego* pod No. 114.
w *Botropp* u p. *Ludwika Procek*.
w *Ueckendorfie* (Westfalia) u pana *Stanisława Kunzego*, Bochumerstr. Nr. 40.
w *Helbra pod Eisleben* w Saksonii u p. *Sebastyana Gremka* Wilhelmstr. 4.
w *Gerschede* u p. *Wiktora Gimzickiego* przy Marsstr. 5.
w Bernburgu u p. *Józefa Spychalskiego*, Rosinenberg;

w Galicyi.

w *Krakowie* w księgarni p. *D. E. Friedleina* i u p. *S. A. Krzyżanowskiego*,
w *Lwowie* u pp. *Gubrynowicza* i *Schmidta*,
w *Stanisławowie* u p. *Jasielskiego i Sp.*,
w *Białej* u pp. *Kubaczki i Langa*,
w *Sanoku* u p. K. *Pollaka*.
w *Rzeszowie* u p. J. *A. Pelara*,

w Stanach Zjedn. Półn. Ameryki:

w *Providence* u Wieleb. księdza *Duczmala* przy katedrze św. Piotra i Pawła,
w *Duluth Minn*, Sup. T. Delivery P. O. u p. *Antoniego Grabarkiewicza*.
w *Milwauke Wis* w Redakcyi „*Kuryera Polskiego*“ Box 68.
w *Chicago J. U.* u p. *Józefa Kotowskiego* przy Holle-Ave 612.
w *Memphis Tenn* u p. J. *Nowaka*, 35 Madison Str.
w *San Francisco* u p. *Ignacego Kolasa* przy 3 Polk Str.

w Brazylii:

w *Curytybie* w Redakcyi „*Prawdy*“, Caixa Postal No. 197,
w *Curytybie* u p. *Cezarego Szulca*, Rua Gracioza No. 6.

W wszystkich tych agencyach „Pracę“ i „Czytelnię Polską“ od każdego czasu zaabonować można.

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy“ **Wincenty Szmytkowski.**



Dla teatrów amatorskich!

Jedyne wydawnictwo teatralne z muzyką na fortepian podłożonemi śpiewami, pięknemi rycinami tytułowemi o dwubarwnym druku pod tytułem:

NARÓD SOBIE!

Po 1 m. No. **1.** Halina. Bursztyny Kasi. — 2, Żdżarski, akademik, cz. Ofiara za Ojczyznę. — 3. Kucz Ulica n. Wisłą. — 4. Adam i Ewa. — 5. Papugi naszej babuni. — 6. Bayard. Nic bez przyczyny. — 7. Wieniarski. N. Wisłą. — 8. Dębicki. Bartos z pod Krakowa. — 9. — Żyd w beczce. — 10. Grang & Thiboust. Było to pod Wagram. — 11. Galasiewicz. Aby handel szedł. — 12. Ładnowski. Lokaj za pana. — Staruszkowie w zalotach. — 13. O chlebie i wodzie. — 14. Kamiński. Kominiarz i młynarz. — 15. Jasiński. Nowy Rok. — 16. Żółkowski. Bankructwo partacza. — 17. Deslandes. Małe ladaco. — 18. Dmuszewski. Szkoda wąsów. — 19. Godebski. Miłostki ułańskie. **Po 2 m.** No. 51. Szygethi. Stary piechur i syn jego huzar. — 52. Friedberg. Prawica i lewica. — 53. Brodziński. Wiesław. — **Po 1,50 m.** Korzeniowski. Okrężne. 652

Słowaczyński, Chłopiec 100 dukatowy, cz. Zaklęta w kaczkę księżniczka na Ordynackiem 50 fen. — Pobratymiec, Monologi, 2 ser. po 25 fen. wysyła z nadesłaniem należytości, obszerne katalogi darmo i franko. 652

A. Cybulski, Księgarnia, Poznań.

„Mody Paryskie“

najtańsze i najpiękniejsze pismo dla kobiet, zawierające

wzory najnowszych strojów paryskich, robót ręcznych, wielkie tablice haftów i krojów, wykonane przez pierwszorzędnych krawców paryskich, nadto **dodatki powieściowe i nutowe** (na fortepian i do śpiewu), kosztują **kwartalnie 2 kor.** (2 mk.) **półrocznie 4 kor.** (4 mk.), **rocznie 8 kor.** (8 mk.) **W Ameryce** półrocznie 1 dolar, rocznie 2 dolary.

Prenumeratorowie, którzy zapłacą prenumeratę **za cały rok z góry,** otrzymają **wspaniałą nagrodę** (sensacyjną powieść). — Prenumeratę najlepiej nadsyłać wprost do Administracyi **„Mód paryskich,“ Lwów, ul. Akademicka 10.**

Numera okazowe na żądanie wysyła się bezpłatnie.

J. K. Jasielski

adwokat ludowy
(pozasł. aktuaryusz sądowy)
w Poznaniu,
Stary Rynek 88 II ptr.

spisuje kontrakty, skargi, podania do wszelkich władz, obrony w sprawach kryminalnych, informacye w sprawach procesowych, reklamacye do podatku i wojskowości i wykonuje wszelkie prace piśmienne.



Znana w świecie berlińska firma maszyn do szycia **M. Jacobsohn** Berlin N. 24, Linienstr. 126, wsławiona długoletniem dostawianiem związkom pocztowym, wojskowym, leśniczym, nauczycielskim, kolejowym i urzędniczym, wyseła *najnowsze, wysokoramienne familijne maszyny do szycia „Korona“* (system Singera) do krawiectwa i robót domowych. Silna budowa, piękna ozdoba, wprawianie w ruch nogą, cena 50 m. Czterotygodniowy czas próby, pięcioletnia gwarancya. Kilka tysięcy dostawionych w Niemczech związkom, warsztatom wojskowym i krawczyniom, można wszędzie oglądać. Katalogi i uznania bez kosztów franko. Marienbaum p. Düsseldorfem 1 maja 1896. Na łaskawe pismo Pańskie powiadamiam Pana, że z Pańskiej maszyny do szycia, dostawionej nam w roku 1890, jesteśmy nader zadowoleni. Wistel, król. nadleśniczy. 242

Młody

pomocnik,

trzeźwy i energiczny, może się od zaraz zgłosić. Odpis świadectw z podaniem pensyi proszę nadesłać. 233

T. W. Łuczyński,
Inowrocław.
Handel towarów korzennych, destylacya i skład piwa.

Nowe urządzenia gorzelnicze, także pojed. aparata dostarcza tanio. Of. pod **O. T. 24** do *Haasenstein & Vogler.* A. G. Ann. Exp. Königsberg in Pr. 777

Bardzo prakt. poj. i podw.

buchalterya

stenografia etc.; 2—4 godzin co dzień i wieczór. Wstęp **każdego czasu.** Prospekt **gratis.** 228

F. Mellin,
nauczyciel handlowy,
Poznań, Wielkie Garbary 14.

Dobrze polecony, uzdolniony

pomocnik,

dzielny ekspedyent i dekorator, władający biegle językiem polskim i niemieckim, znajdzie korzystne i przyjemne stanowisko zaraz lub od 1-go lipca rb. Oferty z fotogr. kopiami świadectw i podaniem warunków przyjmuje

250 **W. Retzlaff,**
handel tow. kolon. i łakoci
w Król. Hucie (Königshütte O.-S.

„TEKA“

czasopismo młodzieży polskiej
wychodzące we Lwowie raz na miesiąc.

„Teka“ jest pismem poświęconem sprawom i życiu młodzieży polskiej, kształcącej się we wszystkich trzech zaborach i za granicą.

Prenumerata wynosi w Księstwie i w Niemczech **rocznie 4 mk., półrocznie 2 mk., kwartalnie 1 mk.** — Adres Redakcyi: **Lwów, ul. Koralnicka 6.**

Trzeci rok istnienia!

Illustrowane pismo humorystyczne

„Śmigus“

wychodzi we **Lwowie** dwa razy miesięcznie, t. j. 1-go i 15-go. Prócz treści nader bogatej i wybornych **kolorowanych** illustracyi pierwszorzędnych artystów zawiera każdy numer Śmigusa **bezpłatny** dodatek z najnowszemi kompozycyami na fortepian i do śpiewu. Oryginalne i tłumaczone humoreski urozmaicają każdy numer.

„Smigus jest najlepszem pismem humorystycznem polskiem.

Prenumerata wynosi: **kwartalnie 2 mk., półrocznie 4 mk., rocznie 8 mk.** W Ameryce **półrocznie 1 dolar, rocznie 2 dolary.** Prenumeratę najlepiej nadsyłać wprost do Administracyi **„Śmigusa,“ Lwów, ul. Akademicka 10.**

Prenumeratorowie, którzy zapłacą abonament **za cały rok z góry** otrzymają **wspaniałą nagrodę** (sensacyjną powieść wartości 3 marek.)

Numera okazowe na żądanie wysyła się bezpłatnie.

Szkoła kroju damskiego

w Poznaniu

założona w roku **1870** przez **Maksymiliana Kazubowskiego,** akademicznie wykształconego nauczyciela kroju i wydawcy „Podręcznika kroju damskiego.“

Kurs rozpoczyna się 7 maja i trwa od 4—6 tygodni. W tym czasie wyuczą się panie gruntownie **wszystkiego,** co tylko w zakres **eleganckiej i modnej krawieczczyzny damskiej wchodzi,** jako to: Najrozmaitszych staników fasonu angielskiego, francuzkiego i wiedeńskiego. Najnowszych kabatów, okryć peleryn, rotund, poszyć na futra oraz ubranek dla chłopców i bieliznę męzką i damską. Objaśniam także gruntownie w jaki sposób można wydostać każdy model spódnicy z żurnali i innych rzeczy, podanych w sposób akademiczny. Na zakończenie robi każda z pań samodzielnie próbę, która bez przymierzenia wypaść musi bez najmniejszej poprawki. Naukę ułatwia bardzo Podręcznik, wydany i opracowany przez założyciela szkoły. Takowy został dla swej dobrej i pewnej teoryi na wystawie prowincyonalnej w Poznaniu premiowany **srebrnym medalem** i dyplomem honorowym. 258

M. Kazubowskiego szkoła kroju damskiego,
Plac Piotra nr. 3, III piętro.
Kazimira Kazubowska,
przewodnicząca szkoły.



Filia: w Hamburgu, (Schleusenhof). 150
Filia w Curytybie (Brazylia).

Prosimy odciąć.

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für die Monate Mai u. Juni die in Posen erscheinende Wochenschrift

„PRACA“

(Abtheilung II. t. poln. Nr. 103 der Zeitungspreisliste)
für 84 Pfg.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 84 Pfg. erhalten zu haben bescheinigt

...., *den* ....

Kaiserl. Post ....